Nr. 36. Warszawa, dnia 6 Września (25 Sierpnia) 1890 r. Rok X.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedya dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

POLITYKA.

ZNOWU MĄDRZY PO SZKODZIE.

Przynajmniej szczerze, a nawet rozumnie. „Jeżeli Koło polskie — powiada jedna z gazet niemieckich — głosując w sejmie za pomnożeniem wojska, sądziło, że pierwszą nagrodą za ten czyn „patryotyczny" będzie arcybiskup jego narodowości na stolicy św. Wojciecha, to musiało teraz rzetelnie rozczarować się i swoje doświadczenia jednem więcej wzbogacić. Rząd bowiem odrzucił całą listę kandydatów, którą mu przedstawiła kapituła, jako niemożliwą do przyjęcia, a ta niemożliwość dotyczy nie ich osób, lecz pochodzenia, o czem wyraźnie przekonywa fakt, że książę Radziwił, uznany za *personam ingratam* dla Poznańskiego, ma być podobno uważany za *personam gratissimam* dla Strasburga. Odrzucenie przeto poznańskiej listy kandydatów poucza, że rząd następcą Dindera chce mieć niemca. Jeżeli kapituła na drugiej liście pomieści znowu tylko nazwiska polskie, z pewnością powtórzy się wypadek z nominacyą Dindera: na mocy porozumienia się rządu z papieżem, ksiądz niemiecki otrzyma arcybiskupstwo, z którem związana jest godność prymasowska. Nieprawdopodobnem jest, ażeby Kurya stawiała przeszkody; życzenia polskie oddawna traktowała ona jako materyał ofiarny, które Kościół może sobie gdzieindziej wynagrodzić, rząd zaś okaże się dla niej łaskawym i wdzięczniejszym za prekonizacyę drugiego niemieckiego arcybiskupa poznańsko-gnieźnieńskiego, niż dla polaków za ich głosowanie na korzyść projektu wojskowego, które skutkiem tego było *pro nihilo*."

Co tu dodać do tych jasnych, szczerych i przekonywających słów? Wydrwione przez gazetę niemiecką rozczarowanie przepowiedzieliśmy w nr. 28 *Prawdy*, zaraz po owem słynnem, prusko-patryotycznem głosowaniu Koła polskiego, w imieniu którego poseł Komierowski wystąpił jako rycerz „tronu i ołtarza," niezagrożonych przez nikogo. Za kulisami deputaci poznańscy urągali spotykającym ich naganom i szeptali sobie z dumą radosną i nie wiadomo z jakiego palca wyssaną nadzieją, że stanowisko Dindera zajmie polak. I oto na odurzone własnem złudzeniem i naiwnością głowy wylano kubeł chłodnej wody. „Czyn patryotyczny" nie będzie nagrodzony, przynajmniej nie arcybiskupstwem poznańskiem, a może nawet został on spełniony *pro nihilo*.

Czytelnikom nasuwa się zapewne myśl, że ukryta w tej ofierze mądrość polityczna miała inną rachubę, której obecny zawód nie przekreśla. Niestety, dziennikarskie organy Koła nie pozostawiają nas pod tym względem w żadnej wątpliwości. Zostaliśmy — powiada jeden z nich — obrażeni w naszych najświętszych uczuciach i pokrzywdzeni w naszych najświętszych prawach. Ponieważ zaś naturalną jest rzeczą, że kto cierpi, pragnie swe bóle wyrazić, przeto również jest słusznem, ażeby naród ujawnił uczucia, które go przenikają. Polska ludność Poznańskiego powinna się zgromadzić na wielki wiec, ażeby złożyć świadectwo publiczne, że ona cała i nierozdzielna stoi po stronie kapituły, ażeby objawić boleść z powodu ostatniego postanowienia i ażeby wyrazić ufność, że Stolica Apostolska obroni prawa naszej dyecezyi i nie pozwoli ograniczać naszej zwierzchności kościelnej. Już raz stało się to ku wielkiej szkodzie i oby znowu się nie powtórzyło.

A jednakże według wszelkiego prawdopodobieństwa powtórzy się — dinderiada. To też radzimy owym wiecowi, ażeby z wyrażeniem wiary w ojcowską troskliwość papieża wstrzymał się do chwili, kiedy nowy arcybiskup będzie już zamianowany. Wtedy bowiem już ta troskliwość stanie się ciałem i łatwiej znajdzie dla siebie odpowiedni „wyraz." Mianowicie, jeżeli na stolicy arcybiskupiej zasiądzie niemiec, dzienniki ultramontańskie dowiodą, że i za niego trzeba czuć wdzięczność, bo po za pozorną obojętnością Kuryi kryje się miłość dla poznańczyków, która dopiero później wypłynie jak oliwa na wierzch.

Tymczasem politycy Koła, którzy z takim rycerskim animuszem przepasywali się szarfami patryotyzmu pruskiego i dyplomatycznie mrugali na niewtajemniczonych w ich głębokie plany przeciwników, mają teraz smutno zabawne miny. Bo czy zawierzyli wspaniałomyślności, czy obiecankom niemieckim, ofiarując rządowi swe głosy w sejmie, odegrali rolę wróblów wziętych na plewy, okazali naiwność, z której doświadczenie dawno już ich wyleczyć powinno.

„W sprawie arcybiskupiej i kolonizacyjnej — pisze *National Zeitung* — chodzi o to, czy ma się powtórzyć polityka niekonsekwencyi, która w polskich dzielnicach Prus ciągle wiele obiecujące początki niszczyła dla zwodnych względów polskiego kleru i szlachty. Niema obecnie żadnego powodu, ażeby rząd dopuszczał się takiej słabości."

Czy Koło polskie to rozumie, albo — kiedy zrozumie? Niechże ono z tej reguły ułoży sobie inną na użytek własny i przestanie również uprawiać politykę niekonsekwencyi.

Z CZECH.

Rozbicie ugody czesko niemieckiej. — Bezowocna podróż. — Rzekome ustąpienie feodałów czeskich z areny politycznej. — Unija staro-czechów z młodo-czechami i prawdopodobne jej skutki. — Nieco o przyszłorocznej wystawie czeskiej.

Rozwój sprawy ugody czesko-niemieckiej dowodzi jasno, jak bezsilnymi są twory polityczne, nie odpowiadające usposobieniu

narodu politycznie dojrzałego. Rząd podjął tę robotę, aby pogodziwszy staro-czechów z niemcami, wzmocnić własną potęgę, a młodo-czechów pozbawić wpływu w sejmie i w parlamencie. Tymczasem młodo-czesi zwyciężyli staro-czechów, zrywają ugodę z niemcami i gotują się do objęcia steru. W ostatniej potrzebie Rieger wybrał się do Wiednia, aby hr. Taaffego uprosić o zwołanie drugiej konferencyi na podstawie odmiennych propozycyj. Z końcem września zejść się ma sejm czeski, a skoro wprzód porozumienie nie nastąpi, ugoda do skutku nie przyjdzie. Taaffe tym razem odmówił pośrednictwa. Dzienniki, półurzędowe oświadczyły zgodnie, że rząd na rozwój sprawy ugodowej nadal wpływać nie myśli i że nie zajmie się wypracowaniem nowych przedstawień. Wobec takiej odprawy i wobec wzrastającej potęgi Gregra, gruchnęła wieść, że nie tylko Rieger ustąpi z pola politycznego, lecz za przykładem jego pójdą feudalni wodzowie stronnictwa staro-czechów, książę Karol Schwarzenberg i hr. Ryszard Clam-Mastinnitz. Uparciej też, niż kiedykolwiek powtarzano, że hr. Taaffe postradał zaufanie cesarza, który zaangażował się w sprawie ugody i że z początkiem jesieni, w chwili kiedy rozbicie jej stanie się faktem, zmuszony będzie do wzięcia dymisyi. Głosy te zamilknęły, kiedy *Czas* krakowski ogłosił korespondencyę z Wiednia o niedwuznacznym charakterze półurzędowym, która wyświetliła, dlaczego hr. Taaffe zmuszony był odprawić Riegera z niczem: rząd nie może traktować ze stronnictwem, które straciło władzę i postępuje chwiejnie. Stanowisko hr. Taaffego według korespondenta właśnie wobec niebezpiecznych zawikłań politycznych jest utrwalone; cesarz spodziewa się, że jego minister, który zawsze wyszukać musiał wyjście, znajdzie je i dziś.

Przyznać trzeba, że sprawa to nie łatwa. Staro-czesi, opuszczeni przez rząd, wzajem go opuścili i zbliżyli się do młodo-czechów. Wraz z nimi w zasadzie potępiają dziś ugodę, wraz z nimi domagają się wprowadzenia czeskiego języka urzędowego. Rozmiarów zwycięstwa młodo-czechów dowodzi ta okoliczność, że nie oni staro-czechom podali rękę, lecz że partya Riegera ku nim ręce wyciągała. Trudno orzec, czy i kiedy utworzy się stronnictwo zjednoczone; lecz dziś już występują praktyczne skutki porozumienia zwaśnionych do niedawna żywiołów: wiadomo bowiem, że zawarto układ w sprawie wyborów do praskiej izby handlowej. Póki małe jeszcze grono posłów staro-czeskich uważało za swój obowiązek, bronić punktów wiedeńskich, rząd przeprowadzać mógł w sejmie bodaj ułamki wniesionych ustaw (o radzie szkolnej). Lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa z początkiem jesiennej seryi sejmowej, Staroczesi również przyłączą się do zasadniczego żądania młodo-czechów, aby ustawy ugodowe traktować nie oddzielnie lecz jako łączną całość, a wówczas ugoda wiedeńska zostanie pogrzebaną. Wówczas nie już przeszkadzać nie będzie ujawnieniu unii wśród czechów, a z chwilą tą miejsce naczelne obejmie Gregr. Ks. Schwarzenberg i hr. Clam-Mastinitz są dziś jeszcze członkami klubu czeskiego; lecz czy pozostaną w nim, skoro Gregr rządzić tam będzie? Czy feodałowie, którzy demokratyczne stronnictwo czeskie zawiedli na manowce, schlebiając szowinizmowi narodowemu, staną mogą oko w oko z przedstawicielem uświadomionego sumienia partyi postępowej. I jakim sposobem pomieszczą się w parlamencie wiedeńskim zwycięzcy młodo-czesi, przeciwnicy hr. Taaffego, i hr. Taaffe, który zawsze tak pogardliwie ich traktował? Zdawałoby się, że jest to niemożebnością moralną. Tak, lecz niemożebność moralną zawsze jeszcze jest możebnością polityczną, i dlatego, wierząc najsilniej w konieczność rychłego ostatecznego zwycięstwa młodo-czechów, nie wierzymy ani w ustąpienie Schwarzenbergów, ani w dymisyę hr. Taaffego.

Mimo fatalnego zaostrzenia się stosunku czechów do niemców, mimo podburzających, teatralnych tyrad, które Gregr jako wódz tryumfujący wygłosił niedawno wobec ludności chozeńskiej, przyjmującej go entuziastycznie, sądzimy że młodo-czesi, zburzywszy układ zawarty z niemcami pomyślą niebawem o nowym, na własną rękę. Zmusi ich do tego bezpośredni, praktyczny interes narodu. Wiadomo że czesi przygotowują wystawę w Pradze na r. 1891. Wiele im zależy na współudziale niemców, którzy ze swej strony chętnie użyją tej sposobności, aby popisać się ze swem ekonomicznem w Czechach znaczeniem. Dlatego dziś już czesi ile razy zmuszeni są mówić o wystawie, traktują niemców znacznie delikatniej, aniżeli w dyskusyi o przedmiotach politycznych, a wielcy przemysłowcy niemieccy, oburzywszy się na zabiegi młodoczeskie z głębi swego narodowego sumienia, niebawem jako fabrykanci nazywają te same zabiegi „drobnemi manifestacyami,“ które nie mogą przerwać ekonomicznej solidarności szczepów, zamieszkujących Czechy. Wystawa praska istotnie posiadać będzie dla kraju tego znaczenie doniosłe i wielostronne. Ma ona być naprzód uroczystym obchodem stuletniej rocznicy pierwszej wystawy europejskiej w Pradze, i służyć za świadectwo postępów, jakie czesi poczynili w kierunku kulturalnym i ekonomicznym w wieku ubiegłym. To też rozwinęli oni całą ruchliwość, aby jej zapewnić powodzenie świetne. W parku Baumgarten dziś już wznoszą okazałe gmachy i pawilony. Olbrzymi pawilon główny spoczywać będzie na rusztowaniu żelaznem. Części składowe tej budowy sprowadzane są koleją konną, umyślnie urządzoną. Najwspanialej przedstawiać się będzie dział machin i narzędzi rolniczych, a w nim poddziały myślistwa i rybołówstwa. Nader zajmującym będzie dział sztuki z częścią historyczną. Publiczność europejska znajdzie więc sposobność do zapoznania się z najsławniejszymi utworami pędzla i dłuta czeskiego. Lecz artyści przygotowują i nowe dzieła dla wystawy. Rzeźbiarz Mytlbek pracuje nad wielką alegoryczną grupą w marmurze „czechia resurrectura,“ Brożik nad obozem historycznym, Liebszer maluje cykl krajobrazów czeskich. I architekci nie próżnują. Morker przedstawi plan i wizerunki katedry św. Wita na zamku Pradczyńskim, która ukończoną będzie za lat parę, Hlawka plany i wizerunkiem przyszłego gmachu czeskiej akademii umiejętności. Wieczorem cały obszar wystawy oświetlać będzie system słońc elektrycznych, za pomocą maszyn o sile 680 koni. A że i muzyka będzie wyborna, to bez przytyku do narodowego talentu czechów zgóry powiedzieć można.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Faktów świeżych w dalszym ciągu nie ma, ale za to ile wspomnień i "odkryć"! Niewiadomo, w którą stronę zwrócić uszy dla słuchania ciekawych opowieści. Oto naprzód ktoś w *Figarze* paryskim wynosi na scenę tajemnice „z za kulis bulanżyzmu.“ Brudne to sekrety, a „wielki generał“ okazuje się z nich takim nicponiem, jaki tylko wyrość mógł na zgniłym gruncie polityki francuskiej. Służąc Rzeczypospolitej, po-

---

SEKRETARKA.

(z Revue Bleue).

— Dzielna osóbka ta panna Klara i jeżeli przeznaczonem jej było w początkach zeszłej zimy odpokutować za grzechy, mniemam, że dziś już odpuszczone jej one zostały w zupełności.

Nagła śmierć starego opiekuna, dziwne rachunki, po których zamknięciu jedyną jej własnością okazało się łóżeczko, komoda, trzy krzesła, mieszkanko na cały rok zapewnione, a składające się z jednej izdebki, u szczytu domu przy ulicy Saint Germain położonego, oto po śnie słodkim pierwsze przebudzenie.

Ani kawałka drzewa w składniku, podczas gdy na świecie dotkliwe panują chłody, całym majątkiem mała sakiewka, tak lekka, że nawet niedopuszcza myśli o marnotrawstwie i zaledwie pozwala marzyć o niezbędnem pożywieniu. To też, nie zdziwicie się, gdy powiem, że w tę styczniową pogodę zimny wiatr, harcując po świecie, porównywał surowość jej mieszkanka z miękkością apartamentu, do którego wśligiwał się niekiedy ostrym językiem i spostrzegał, iż o wiele jest łatwiej wdzierać się pod strychy, niżeli do wytwornych salonów margrabiny.

Jednak wzniosłe męztwo młodości, które wśród najdotkliwszych niepowodzeń umie z roskosznie przymkniętemi oczami marzyć o szczęśliwszem jutrze, na chwilę nie opuszczało Klary.

Od samego rana bywała ona w ciągłym ruchu — z domu stręczeń przechodząc do biura lub domów prywatnych, a zawiedziona w oczekiwaniach, odchodziła pełna odwagi i jeśli wieczorem, znalazłszy się nareszcie w swojem mieszkaniu, uroniła łzę, to wnet ją osuszał złoty błysk nadziei...

Niekiedy wieczorami, gdy gęste i grube płatki śniegu przez otwór w kominie spadały aż na cegły wygasłego jej ogniska, ona, nie zastanawiając się zgoła, ile to zimne ognisko zawiera w sobie smutku, klękała przy niem i przejęta owem błogiem uczuciem zadowolenia, którem widok pięknie napełnia każde młode serca, ze splecionemi dłońmi wpatrywała się w te śnieżne płatki i zcicha szeptała: O, jak piękne są one! jak czyste! — a tymczasem zimne jej gniazdo zwolna napełniało się białym puchem.

Wreszcie, znużona chłodem, który wstrząsał całym jej ciałem, skurczona kładła się do łóżka, z żalem gasiła rozweselające izdebkę światło i z twarzą zwróconą ku kominkowi, w którym niestopniały śnieg białością świecił wśród zmroku, usypiała wpatrzona w niepokalaną jego czystość.

Czasem z pierwszego piętra przeciwległego gmachu dolatywały tutaj dźwięki orkiestry. Księżna X. w środy urządzała u siebie taneczne wieczory, a wtedy tony z przejrzystego powietrza zimowych nocy wpadały kaskadami do mieszkanka Klary. Na dziedzińcu, przy bramie, rozlegały się krzyki lokajów, tententy kopyt końskich, a z otwieranych niekiedy dla oświeżenia zbyt gorących salonów okien dawały się słyszeć niespokojne głosy matek, wzywających do spoczynku młodziutkie tancerki.

Najczęściej Klara wsłuchiwała się w te hałasy z tym samym dobrotliwym uśmiechem, z jakim przed chwilą podziwiała czystość śnieżnych puchów. Lecz bywały dnie, w których te zgiełki tak donośnie i wesoło rozbrzmiewały w czarnym jej pokoiku, w których tak wyraźnie odróżniała walce przez nią samą przeszłej zimy tańczone, iż pomimo całej mocy odwaga opuszczać ją zaczynała. Wtedy ze splecionemi u piersi ramionami zcicha wymawiała słowa modlitwy, którą sama w dniach smutku ułożyła:

— Boże mój, zabierz mi moją młodość, serce i wspomnienie, a pozostaw tylko zdrowe do pracy ręce!

rozumiewa się z rojalistami i bonapartystami, których jednocześnie okpiwa i wyzyskuje, płacąc za pieniądze zdradą, a nie ma nawet tej siły charakteru, ażeby oszukawszy wszystkich, objawić szczere przywiązanie do swej własnej ambicyi i męstwo w jej obronie. Jest to prawdziwy — jak go ktoś nazwał — „Alfons Francyi," utrzymaniec różnych partyj, którym pieniądze wyciąga i przeniewierza się, osobistość marna, próżna, nikczemna. Zdobywszy wielką popularność, nie ogarnia jej jako siłę dla przeprowadzania jakichś celów, ale po prostu wystawia na licytacyę i sprzedaż. Zwyczajny, nie błyszczący nawet szlachetniejszymi pozorami szubrawiec, o którym świat prędko zapomni i tylko pamiętać będzie o swym wstydzie, że się nim tak długo zajmował.

Ciekawe odkrycia zamieściła *Bresl. Zeitung* o drugim większym bohaterze. Rzeczywiście nikt nie przypuszczał, że między Wilhelmem I a ks. Bismarkiem nie istniał w ostatnich latach taki stosunek, o jakim opowiadała dotąd legenda. Kanclerz swoją szorstką samowolą, prześladowaniem osób posiadających przyjaźń i zaufanie monarchy, przywłaszczaniem sobie dotkliwych dla korony przywilejów, ciągłymi wybuchami dokuczał rzetelnie staremu cesarzowi, który raz nawet powiedział do syna: ten człowiek zbyt wyrósł, już nas osłania swoim cieniem. Wiadomo, że przy każdem starciu z wpływami dworskimi Bismark podawał prośbę o dymisyę; otóż te sposoby wywierania nacisku tak znudziły Wilhelma, że prosił swego kanclerza, ażeby mu nadal ich oszczędził. Niektórym twierdzeniom bezimiennego a widocznie wtajemniczonego sprawozdawcy Bismark zaprzecza w swym organie hamburskim, ale czyni to dość miękko, a zresztą znana jest jego umiejętność wykręcania prawdy naopak, czego świeżo dowiódł charakterystycznie. Przyjechał do niego na wieś poseł włoski Abranyi. Niedopuszczony, pomimo prośby i przesłania biletu wizytowego przez d-ra Chrysandra (sekretarza), spotkawszy Bismarka, siedzącego pod drzewem na dziedzińcu, przedstawił mu się i w obecności jego syna miał z nim krótką rozmowę, którą później ogłosił. Wtedy Bismark kazał w gazecie hamburskiej zaprzeczyć, ażeby rozmawiał z Abranyim, którego nie zna i który nie był mu przedstawionym. Rzeczywiście go nie znał, rzeczywiście ten nie był mu przedstawionym (tylko sam się przedstawił), więc udając, że nie wie, z kim rozmawiał, na tym subtelnym wykręcie sofistycznym oparł swoje zaprzeczenie i napiętnował niewinnego człowieka zarzutem kłamstwa. Skutkiem tego zdolny i wysoce ceniony poeta węgierski, zakwestyonowany w honorze, musiał złożyć mandat poselski i wystąpić z klubu. Jakie to czysto Bismarkowskie!

Spór w łonie socyalnej demokracyi niemieckiej (między skrajnymi teoretykami a oportunistami z Beblem na czele) uśmierzył się nieco, ale nie dobiegł do końca. Ma on być rozstrzygnięty łącznie z programem partyi na wielkiem zgromadzeniu jej członków 1 października. Dzień ten oczekiwany jest z pewną trwogą. Ustawa wyjątkowa przeciw socyalistom nie została odnowioną, cesarz swoimi projektami ożywił między nimi ruch i nadzieje, na zmienionym i przyjaźniejszym gruncie żywioł ten chce rozwinąć energiczniejszą działalność, stąd ciekawość i niepokój mieszczaństwa.

Niektóre z gazet niemieckich napomknęły, że cesarz niemiecki wrócił z Rosyi do pewnego stopnia zawiedziony w swych nadziejach. Otóż *Reichsanzeiger* stanowczo temu przeczy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 22 sierpnia.

Górującym wypadkiem w obecnej porze jest zrzeczenie się hr. Tarnowskiego godności marszałka sejmowego. Niektórzy szukają pobudek *politycznych* tego ustąpienia w uroczystości obchodu Mickiewiczowskiego. „W Wiedniu miało to niepodobać się wielce, że taka manipulacya odbyła się pod naczelnem kierownictwem marszałka krajowego." Pewne z tego powodu niezadowolenie w najwyższych sferach wiedeńskich nie ulega wątpliwości. Ale rychło się ono zatarło, marszałkowi zaś niczem niedano go uczuć. Urzędowe pismo do namiestnika, zaprzeczające wieściom, jakoby zaniechanie podróży cesarza do Galicyi było spowodowane ową uroczystością, a wyrażające zarazem pochwałę ze spokojnego przebiegu obchodu, było ostatecznem tej sprawy załatwieniem.

Powody rezygnacyi są nie polityczne, ale raczej *psychologiczne* natury *). Jeżeli sobie przypomnimy, jak po ustąpieniu Zyblikiewicza hr. Jan Tarnowski tylko najusilniejszym naleganiom swoich przyjaciół politycznych dał się nakłonić do przyjęcia laski marszałkowskiej nie będziemy się dziwili, że uważając je za jako ofiarę ze swej strony, gorąco pragnął, aby się to raz już skończyło. Pan Tarnowski posiadał wielką sumienność i poczucia odpowiedzialności, niestety nie bez pewnej z poczucia tego płynącej bojaźni. Przymioty te połączone z wrodzoną a nadmierną skromnością i brakiem zaufania we własne siły — utrudniły mu wielce zadanie naczelnika wielkiej machiny administracyjnej, nie dozwalając rozwinąć potrzebnej energii. Człowiek z jego usposobieniem, podobny do owej *mimosa pudica*, kurczącej się za lada dotknięciem z zewnątrz, nie może długo wytrwać na stanowisku, wymagającem niemal codziennych walk — a w każdym razie szybkości decyzyi, stanowczego działania, a czasem i bezwzględności. Różne też stosunki w łonie wydziału krajowego przyczyniły się do tego. Wywierając z natury rzeczy pewien wpływ na wydział, kierował się w wyborze członków wyłącznie względami czysto politycznej natury — i nie jest rzeczą niemożliwą, że ze stanowiska potrzeb administracyjnych doznał pewnego rodzaju rozczarowania tak co do tych, których wyboru pragnął, jak i co do tych, których chciał zwalczać... Ważne bardzo stanowisko zastępcy marszałka zostało przez chorobę Pietruskiego na czas dłuższy osierocone, co było bardzo dla marszałka dotkliwem. Zawołany gospodarz rwał się co chwila do swej roli dzikowskiej, a nie mógł urzędu rzucić dłużej, niż na parę dni, bo niebyło zastępcy. Dalszą trudność stworzyła chroniczna choroba finansów krajowych. A wszystkie te przyczyny zwaliły się kamieniem na słabe przygarbione barki pana hrabiego — musiał więc odejść. Następca jego dotychczas niewiadomy, oczekujemy bowiem dopiero urzędowego przyjęcia rezygnacyi przez cesarza.

Jak corocznie przed walnem zebraniem, ogłosił niedawno wydział Towarzystwa Kółek rolniczych szczegółowe sprawozdanie za rok ubiegły, z którego powziąć można dokładne wyobrażenie o jego rozwoju i działalności. Społeczeństwo nasze zrozumia-

*) Porówn. numer poprzedni *Prawdy*.

Bywały to chwile ponure, lecz rzadkie, bo ta młoda istota obdarzona była tak wielką sprężystością charakteru, iż jedno przelotne wrażenie, jeden promień słońca, jedno nic, jakgdyby pewna i niezachwiana obietnica szczęścia przywracały jej równowagę moralną.

Kiedy podczas codziennych wycieczek swoich spostrzegła zwrócone ku sobie przychylne spojrzenie, lub gdy na brzegu chodnika policyant zatrzymał ją mówiąc: „zaczekaj pani, przejść teraz niepodobna!" — ona, temi krótkiemi i banalnemi słowy, które wydawały się dla niej czemś nieoszacowanem i opiekuńczem, czuła się tak wzmocnioną i pocieszoną, że ze łzami w oczach dziękowała za nie. Nadto, jeśli dnia tego pogoda była przejrzysta, niebo jasne a ona lekkim krokiem z parku Monceau lub z pod łuku tryumfalnego aż na przedmieście Sain-Germain śpieszyła od rozgranej krwi zarumieniona, wydawała się tak młodą i silną, czuła w sobie taką pełnię życia, zapału i bezwiednej wesołości, że z uśmiechem prawdziwego szczęścia wbiegała na swoje wschody. Wtedy, na prawdę chciałoby się jej uścisnąć i o przyczynę tak wielkiej radości zapytać.

Pewnego poranku następne wiersze zwróciły jej uwagę.

Dziecię drogie, czekaj jutra,
Poczem jutra znów,
Zawsze, zawsze czekaj jutra.

Wiersze te, na arkuszu białego papieru wypisawszy szpilką, przytwierdziła do ściany — i nigdy odtąd bez uśmiechu w stronę tę nie spojrzała.

Zdawało się jej, że od kogoś, mniejsza o to od kogo, otrzymała śliczną jakąś obietnicę, której te słowa były rękojmią.

Na szczęście u spodu kartki nie postawiła daty i nigdy już zliczyć nie mogła ile razy to jutro się powtórzyło — zawsze napróżno.

* *

Zdawało się wszakże, iż niedola przestała ją ścigać nareszcie i wskutek jakiegoś ogłoszenia w dzienniku, Klara wynalazła w końcu pożądaną dla siebie pracę. A była już wielka pora ku temu, albowiem, jeśli wszystko tu na ziemi koniec swój mieć musi, tak samo ze skromnymi dzieje się środkami, których nie nie podsyca.

Propozycya, przyjęta przez Klarę była bardzo dziwną, a mianowicie: chodziło o przyjęcie przy młodej pannie od niedawna narzeczonej, obowiązku sekretarki, a raczej redaktorki listów do narzeczonego.

Córka niezmiernie bogatego kupca, który obecnie wycofał się już z handlu, panna Małgorzata D. kończyła właśnie wychowanie u Sakramentek i zarazem szesnastą wiosnę życia, kiedy, pewnego poranku zawezwano ją do sali, gdzie oczekiwał na nią ojciec, wsadzono do powozu, przybrano w wstążki i przedstawiono trzydziestoletniemu, przystojnemu, młodemu, wytwornemu baronowi, który podał jej — jak to się dzieje w bajkach — obrączkę zaręczynową, gdy tymczasem na pensyonarskim stole czekało ją niedokończone jeszcze ćwiczenie.

Wstęp do tego snu wydał jej się prześlicznym i zdawało jej się, że łatwem będzie te marzenia snuć bez końca; lecz naraz po upływie najwyżej tygodnia znalazła się w śmiertelnym kłopocie, z którego dopiero Klara wybawić ją miała.

Wychowana starannie przez dobre mniszki, dozwalające drobnostkom światowym wślizgiwać się przez żelazne kraty, nie posiadała jednak znajomości owych subtelnych zwyczajów światowych, tak niezbędnie potrzebnych do możności obracania się w pewnych sferach towarzyskich, jak niezbędnym jest znak masoński do rozpoznania członków kongregacyi... Matka jej, od dawna już nieżyjąca, nie byłaby w stanie wyuczyć córki tego języka, którego sama nie znała, a przecież koniecznem było, ażeby ta młoda dziewczyna zdobyła sztukę, jak przemawiać należy do dam starych, mniej starych i młodziutkich, które były hrabinami i księżniczkami, a z któremi przez małżeństwo swe miała zostać skoligaconą.

ło już należycie doniosłość społecznej i ekonomicznej pracy Towarzystwa, czego dowodem zarówno liczba członków, jakoteż ogólna ilość Kółek. Mamy ich obecnie w Galicyi 486, obejmujących 719 gmin i przeszło 20,000 członków. Fakt to niesłychany w dziejach naszych apatycznych towarzystw. Obok czytelń (było ich z końcem roku 486 z 24,843 książkami) okazały się ważnym czynnikiem działalności kółek rolniczych sklepiki wiejskie. Sprawozdanie nie podaje niestety ani ogólnej ich liczby ani bliższych szczegółów o ich rozwoju. Chociaż wydawany przez zarząd główny *Przewodnik* zamieszczał w korespondencyach wiadomości o tych wiejskich handlach — to jednak proste powołanie się na źródło nie wystarcza, albowiem roczne sprawozdanie powinno właśnie zawierać całkowity obraz działalności Towarzystwa. Objaśnienia, otrzymane od zarządów wykazują stały wzrost sklepików, które nietylko zaopatrują ludność wiejską w towar lepszy i tańszy, nie tylko ułatwiają członkom zbyt produktów, ale wywierają także ten zbawienny wpływ, że odciągają włościan od tracenia czasu na targach i jarmarkach. Niektóre kółka poszły dalej, bo sprowadzały całymi wagonami zboże, sól, mąkę, sztuczne nawozy itp. Niestety organy wykonawcze naszych władz skarbowych zamiast ułatwiać utrudniają zadanie kółkom. Zarządy z prowincyi podejmowały również sprawę rozbudzenia przemysłu domowego, oraz różnych przedsiębiorstw przemysłowych, zastosowanych do warunków miejscowych. Wapniarki i cegielnie były w wielu miejscowościach prowadzone na rachunek kółka rolniczego, zajmowano się niemniej garncarstwem, tkactwem, wyrabianiem czapek, rękawic i kożuchów, koszykarstwem i kołodziejstwem. Za pośrednictwem zarządu głównego sprowadziły kółka w ostatnim roku nasion pastewnych, zbożowych i ogrodowych za 9,610 złr., oraz maszyn i narzędzi rolniczych za 2,114 złr. Oprócz tego pośredniczył w wielu wypadkach zarząd główny w zakupnie szczepów, zrazów i nasion ogrodowych na rzecz włościan. W końcu wspomnieć wypada jeszcze kilku słowy o lustracyach gospodarstw włościańskich, przeprowadzonych z ramienia i kosztem Towarzystwa? Praktyczne nauki, udzielane przez lustratorów, zjednały sobie nietylko chlubne uznanie władz, jak świadczą udzielone na ten cel zapomogi, ale, co ważniejsza, przyjmowane są z chęcią i widoczną korzyścią przez ludność włościańską.

Jeden z objawów, doniosłych w kraju naszym i dających nadzieję pomyślniejszej przyszłości, komunikują z Bierzanowa. Inteligentni synowie włościan pospieszyli od zwykłych zajęć zawodowych pod rodzinne strzechy, gdzie ujrzeli światło, aby po latach wymienić myśli, przypomnieć sobie dawne czasy, a co ważniejsza stwierdzić, iż nabyte pracą własną stanowiska obywatelskie w społeczeństwie, nie postawiły żadnej zapory pomiędzy nimi, a tym ludem wiejskim, z pośród którego wyszli i z którym nietylko pochodzeniem i związkami rodzinnemi, lecz sercem i umysłem czują się zespoleni.

Uczestnicy zjazdu, między którymi znajdowało się kilku księży, jeden przeor zakonu, adwokaci, profesorzy gimnazyalni, około dziesięciu nauczycieli ludowych, po nabożeństwie, udali się na błonie, gdzie w miejscu stosownie do okoliczności przystrojonem wraz z rodzicami włościanami spędzili popołudnie, przypominając sobie chłopięce lata i ówczesne rozrywki. Wieczorem lud miejscowy w liczbie kilkuset osób otoczył miejsce zabawy.

Niedawne wypadki na kolejach koło Błowic w Czechach i pod Insbrukiem w Tyrolu, tudzież wydane z powodu nich oświadczenie naczelnej dyrekcyi kolei państwowej, zwróciły na nasze drogi żelazne powszechną uwagę nie tylko w Austryi, ale i po za jej granicami. Dyrekcya kolei państwowych wydała szczegółowe sprawozdanie o przyczynach tych katastrof w celu całkowitego oczyszczenia siebie od zarzutu, jakoby na nią spadała, nie już wyłączna, ale choćby tylko częściowa wina. Miały one być „spowodowane wypadkami elementarnymi, którym *na podstawie zebranych doświadczeń na przyszłość będzie zapobieżono*.“ W tem ostatnim zdaniu urzędowej apologii otrzymujemy pocieszający weksel na przyszłość, a zarazem widzimy, że nietylko w Galicyi musi się stać wprzód nieszczęście, zanim ludzie pomyślą o środkach zapobieżenia złemu. Ci, co zginęli przy rozbiciu się pociągów spełnili tylko czyn wysoce patryotyczny, bo przyczynili się do wzbogacenia dyrekcyi jednem ważnem doświadczeniem! Mężczyzna z pogruchotanemi nogami, dziewczyna ze zmiażdżoną szczęką, kobieta z wstrząśniętymi nerwami niech będą dumni ze swego cielesnego i umysłowego kalectwa, przyczynili się bowiem do istotnego wzbogacenia skarbu doświadczeń, nagromadzonego w naszych kolejach i sowicie podlanego krwią i łzami.

Zaiste niejednemu straszno się robić musi przy wsiadaniu na kolej austryacką, gdyż nigdy nie można być pewnym, czy na linii, po którejby człowiek chciał przejechać z całemi kośćmi, c. i k. dyrekcya zebrała już dostateczny zapas doświadczeń, czy jeszcze nie!...

Ale nie sami kierownicy austr. kolei państwowych są takimi „późnymi Iwanami,“ ich podwładni sekundują im tu wiernie. Urzędowo stwierdza okólnik, że „gdyby przepisy były wykonywane więcej według ich intencyi, niż według litery, to katastrofy możeby niebyło wcale.“ Jakiż to smutny widok na wewnętrzną maszynę zarządu odsłaniają nam te słowa! O ile sięga litera przepisów, służba bywa wykonywana, ale dalej nie. Własne myślenie i rozważanie nic nie znaczy.

Przed tygodniem doniesiono urzędownie, że radca generalnej dyrekcyi austryackich kolei państwowych, Roman Gostkowski został mianowany zwyczajnym profesorem ruchu kolejowego w politechnice lwowskiej. Zapisujemy tę nominacyę jako znakomitą, zdobycz dla tutejszej szkoły politechnicznej. Imię barona Gostkowskiego znane jest od dawna nietylko w kraju. Za główną zasługę naukową poczytują mu, iż ważny dział kolejnictwa, to jest zarząd ruchem, który był dotychczas tylko administracyjną gałęzią służbową, podniósł swemi pracami do znaczenia gałęzi naukowej. Tutejszej szkole politechnicznej przypadł zaszczyt, iż jest jedyną w państwie austr., gdzie dla nauki ruchu kolejowego ustanowiono osobną katedrę. Wydaniem dzieła w języku polskim „Teorya ruchu kolejowego,“ przetłomaczonego na język rosyjski, czeski itd. stworzył Gostkowski epokę dla tej nowo powstałej umiejętności technicznej. Z naukową gorliwością oddawał się też badaniom w elektrotechnice, gdzie licznemi pracami zdobył sobie ogólne uznanie czego najlepszy dowód, iż gdy artykuł jego pojawi się w którymkolwiek czasopiśmie zawodowem, tłomaczą go na język angielski, francuski i rosyjski. Przez 7 lat jako prezes Towarzystwa politechnicznego, całą duszą był mu oddany, pracując nad wykładami, które pobudzały i zachęcały ogół techników polskich do prac naukowych.

Beta.

Zacząć i skończyć list! Czule dziękować za okazane względy! Odpowiadać na tysiączne życzenia! Są to skały zdolne powstrzymać polot najwprawniejszego pióra i które dla tej młodej dziewczynki, wskutek urodzenia jej i wychowania, stawały się podwójnie trudnemi do przebycia.

Wtedy to były handlarz starego żelaztwa, wiedzący o tem, iż w Paryżu za oznaczoną cenę wszystkiego, nawet lekcyi dowcipu dostać można, ogłosił w dziennikach, iż poszukuje osoby, znającej światowe obyczaje, z dobrej rodziny, młodej jeśli można, któraby za pieniądze, całym zasobem uczuć i wrażeń świeżych i osobistych niemal, zapełnić mogła kartki listów przez jego córkę podpisywanych.

Rodzajem egzaminu proszono Klarę o napisanie paru słów dziękczynnych za drobny podarunek — „trzynasty już w tym tygodniu,“ dorzucił ojciec. Malutki jej bilecik, skreślony naprędce, wypowiadał tak dobrze to wszystko, co wypowiedzieć należało, iż natychmiast została przyjętą i przed powrotem do domu do nowych przystąpiła czynności.

* * *

W pierwszych dniach Klara z całą sumiennością usiłowała naprzód rozplątać gmatwaninę myśli, panującą w głowie uczennicy, ograniczając się na nasuwaniu jej odpowiednich formułek, lecz wskutek poprawek i dodatków list w końcu stawał się zupełnie nieczytelnym. Wtedy, zmordowana wyszukiwaniem wyrażeń i zwrotów pełnych prostoty, niezadowolona z frazesów, które Małgorzatka zdawała się umyślnie wbrew wszelkim zasadom harmonii układać, Klara sama chwytała pióro i za jednem pociągnięciem z tej nędznej bazgraniny wysnuwała długą rozmowę, której myśl główna, wyrażona w formie gładkiej i ozdobnej, całkiem do uprzedniej nie była podobną. Młodziutka narzeczona klaskała w dłonie przy głośnem odczytywaniu tych listów, starannie przepisywała dowcipnie wyrażone w nich drobiażdżki ciężkiem nieco pismem, w końcu bez najlżejszego zakłopotania podpisywała.

Powoli system ten się utrwalił. Przyszedłszy, Klara, niby minister rodzaju żeńskiego, najpierw odczytywała listy otrzymane, poczem zasiadłszy do biurka, aż do śniadania rozmawiała z nieznajomymi o swojem szczęściu, swych projektach, o świetnej wyprawie i ślubnej sukni.

„Istna powódź — pisała — te wszystkie klejnoty, które tu spływają i trzeba chyba dworskich balów, ażeby zabłysnąć w całym ich przepychu.

Wyobraź sobie główkę moją, otoczoną dyademem niby żywych kwiatów, usianych kroplami rosy, drży ona w nich i połyskuje jak świeży poranek wiosenny.

Zdaje mi się, że odczytuję jedną z tych bajek czarodziejskich, które gorąco lubiłam niegdyś... Księżniczka miała na głowie jeden tylko drogocenny kamień, przed którego płomienistym blaskiem mrużyły się oczy patrzących... Rubiny jej naszyjnika tak były wielkie, jak orzech włoski, tureckim orzechom odpowiadały wielkością brylanty, którymi obsiewać lubiła haftowaną swą suknię, co zaś do perel, stanik jej zdobiących, te były duże jak jaja gołębie średnich rozmiarów...“

Po wspaniałych darach opisywała szczegóły umeblowania: ogromny salon, przybrany w fotele stylu Ludwika XIII, tak autentyczne, jak pergamin na dyplomach, wykupionych wraz z zamkiem młodego narzeczonego w chwili, gdy przeciwne losy wszystko to wtrącały w dłonie jakiegoś żyda sąsiedniej okolicy, cacka, dzieła sztuki, wązkie taborety, na których niegdyś z damą siadywały księżne i które przechowywały jeszcze coś z dotknięć tych pań wielkich, z ich haftowanych atłasów i drogocennych koronek, jakąś woń niepochwytną, jakąś, że się tak wyrażę — esencyę wspomnień, witryny, mające młodych małżonków otoczyć półcieniem, wspaniałe obicia, pokrywające ściany... Następnie gdzieś w głębi cudowny ogród zimowy, wonią

BADANIA NAUKOWE.

ZWYRODNIENIE ORGANICZNE A ZBRODNIA.

Wśród antropologii kryminalnej można zauważyć dwa prądy, już dość ostro ścierające się wzajem, to znowu płynące zgodnie w tem samem łożysku, tak, że przedstawiają wtedy tęż samą doktrynę, lecz o zmienionem nieco zabarwieniu. Jeden kierunek widzi w przestępcy jedynie szczególną naturę antropologiczną i na plan drugi usuwa, a nawet zupełnie zaprzecza wpływom, wywieranym przez warunki społeczne; drugi tymczasem, w swej jaskrawej postaci, spostrzega tylko to ostatnie. Wreszcie jako płód wzajemnej walki i wymiany faktów, można uważać pogląd, że jakkolwiek zbrodnia ukazuje się w następstwie szczególnej organizacyi u przestępcy, to jednakże sama ta organizacya jest wytworem odpowiednich stosunków społecznych. Właśnie mamy przed sobą znacznej wartości pracę, przedstawiającą ów kierunek syntetyczny. Autorem jej jest znany z poprzednich swoich poszukiwań D. Drill. Książka, *Typy psychologiczne w związku ze zbrodniczwem* *), usiłuje dowieść, że dzisiejsze warunki sprzyjają na wielką skalę bezustannemu ubożeniu i wycieńczeniu organizmów ludzkich. Niepewność jutra i denerwująca walka o byt, niehygieniczne życie wielkomiejskie, brak dostatecznego pokarmu śród mas ludowych i wiele innych przyczyn składa się na ten rezultat. To zubożenie, przekazywane w dziedzictwie dalszym pokoleniom, doprowadza z upływem czasu całe grupy ludności do zupełnego wyczerpania i zwyrodnienia. Prawidłowy, dostatecznie szybki a obfity obieg krwi, bogaty w pierwiastki pożywcze, jest najpierwszym warunkiem, aby organizm cieszył się pełnem życiem. Wraz z tem idą w parze szczególne objawy fizyczne. Piersi wraz z płucami i sercem są silnie rozwinięte, system krwionośny bogato rozgałęziony i mocno zbudowany. Lecz stosunki życia licznych jednostek niszczą zwolna to bogactwo organiczne. Pierwszym objawem wycieńczenia jest zmniejszenie wagi objętości samego ciała oraz oddzielnych jego organów; najważniejszym jednak faktem, a jednocześnie źródłem tego uwiędu jest zmiana składu krwi, zwężenie dróg krwionośnych, ustanie prawidłowego obiegu, słowem zmniejszenie się potoku życiodajnego, roznoszonego po ciele. Wraz z temi przekształceniami dokonywa się też zwyrodnienie tkanki nerwowej. W ostatecznym wyniku działalność serca i płuc zostaje zwolniona, organizm zostaje oddany na pastwę rozmaitym chorobom i czynność życiowa jest w silnym stopniu osłabiona. Ukazują się szczególne typy, przedstawiające coraz większe zubożenie i zwyrodnienie rasy: temperamenty nerwowe, histerycy, wreszcie epileptycy. W miarę jak spuszczamy się po tej drabinie, zwiększa się niestateczność obiegu krwi, jednostka staje się niezdolniejszą do prawidłowego a systematycznego zajęcia, jej dusza przebiega bez pośrednich szczebli nader odmienne stany i popędy. Apatya idzie po nadzwyczajnem ożywieniu, wola niema siły powstrzymać wybuchu namiętności, skoro zjawi się odpowiednia pobudka. Jeżeli ten rozstrój działalności ogarnia jednostkę z rozmaitymi popędami chuciowymi, jest to grunt przewyborny dla wywołania najrozmaitszych czynów zbrodniczych. Dodać należy zresztą, że i samo wycieńczenie jest już powodem wystarczającym dla różnych żądz. Lecz na pewnym poziomie organizm bywa więcej rozstrojony, niż wycieńczony, zubożenie życiowe uwydatnia się raczej nieprawidłowością, niż bezbarwnością czynów, lecz same czyny mogą odznaczać się tu jeszcze silnem napięciem. Człowiek nerwowy, histeryk, epileptyk, jeżeli rzucają się na pole zbrodnicze, mogą być sprawcami nader jaskrawych i krwawych przestępstw. Chwilowe ale silne napięcie chuci, do którego oni są zdolni, najzupełniej tutaj wystarcza.

Lecz całe znaczenie wspomnianego dzieła spoczywa w rozbiorze ostatniego ogniwa we wskazanym łańcuchu zwyrodnień. Mianowicie wzmagające się zubożenie organizmu doprowadza wreszcie do tego, że człowiek staje się niezdolny nawet do najmniej systematycznej pracy, a zamiast silnych, lecz nieregularnych porywów, występuje jednostajna już i bezwładna apatya. Słowem, stoimy wobec szczególnego odłamu zwyrodniałych członków społeczeństwa, z których składają się między innemi kadry żebractwa i włóczęgów. Wszelki temperament jakby w nim zanikł, wrażliwość bywa nieznaczną i nawet żadną, reakcya zwolnioną i opóźnioną. Oto przykład: „Była apatyczną, obojętną na wszystko i mało towarzyską. Jakakolwiek działalność stała się dla niej nie do zniesienia; praca, spacer i muzyka straciły urok. Bieg myśli toczył się wolno i niejasno.“ Przykład ten wzięty jest z chwilowego osłabienia, spowodowanego przez wycieńczającą chorobę, lecz jednocześnie przedstawia wybornie stan nieprzerwanie ciągnący się u jednostek, należących do rozpatrywanego odłamu. Takim jest zwykły typ wśród włóczęgów. „Nie mogłem zmusić się do jakiejkolwiek pracy. Wszelkie zatrudnienie wydawało mi się wielkim ciężarem. Nie umiem powiedzieć dlaczego, lecz czułem olbrzymią nieprzyjemność, kiedy wypadło mi ześrodkować nad czemś moją uwagę. Powiem szczerą prawdę, że ukochałem bezczynne a włóczęgowskie życie.“ W więzieniu powziął on zamiar poprawy, lecz wypuszczony zeń, wrócił do dawnego trybu życia.“ D. Drill przytacza dane, zebrane w jednej kolonii francuskiej dla włóczęgów, mianowicie, iż miejscowy zarząd trzymał na wodzy pomieszczone tutaj osoby bez najmniejszej trudności, lecz natomiast niepodobna było myśleć o ich poprawie z powodu właściwej im nieprzedsiębierczości, bezwładności i lenistwa. „Młódź ta — powiada znowu inny bezpośredni spostrzegacz — wyróżnia się swoim wstrętem do jakiejkolwiek pracy; badacz nigdy nie widział ich przy zajęciu, byli oni włóczęgami i leniuchami wprost z swej natury, a najsilniejsza ich namiętność polegała na tem, aby wciąż przerzucać się z jednego miejsca na drugie.“ Przedstawiciele najniższego szczebla w łańcuchu wycieńczenia organicznego są pozbawieni wszelkiego przewidywania na przyszłość i energii i znajdują się wciąż w szczególnego rodzaju obezwładnieniu, które pozbawia ich niemal wielkiej mężkości. W godzinach obiadowych można ich spotkać u drzwi restauracyjnych, u bram koszar, wogóle wszędzie, gdzie mogą spodziewać się jakiegoś datku. Resztę dnia spędzają, włócząc się po ulicach i szukając lekkiej pracy, np. przeniesienia tłomoków, spełnienia jakichś innych podobnego rodzaju zleceń. Latem śpią oni pod gołem niebem, zimą w różnych przytułkach. „Nic ich nie poprawia. Są włóczęgami, urodzili się bowiem nimi i umrą jako tacy.“ Przez kolonie robocze belgijskie, gdzie pomieszczane są osoby bez stałego zajęcia i zarobków, wciąż przepływa zastęp tych samych osób. Przyjrzyjmy się kilku obrazkom.

Daems, wyrobnik, lat 34, bez żadnych środków do życia; w kolonii osadzony jako włóczęga; za to był już sądzony 21 razy. Darthet, lat 40, wyrobnik; nie pracował,

*) *Psichofizicześkije tipy.* Moskwa.

---

kwiatów całe mieszkanie zapełniający, a urządzony w ten sposób, że w środku zielonej powodzi tej stojąc, zapytywałeś sam siebie, gdzie się tu kończy rzeczywistość, a rozpoczyna bajka.

Poczem znów opisywała, jak spędzić mają pierwsze dni po ślubie, mówiła o projektowanych podróżach, o pogoni za słońcem na wschodzie dalekim... Wszystkie te czarowne rzeczy, poprzedzające dzień zaślubin i towarzyszące mu zazwyczaj, pod piórem jej nabierały tyle uroku i poezyi, że z nich, jak przewidział ex-handlarz żelaztwa, wdzięk i świeżość zdawały się spływać na narzeczoną.

W umyśle Klary bezwiednie osoba jej tak ściśle jednoczyła się z osobą narzeczonego, jak to się dzieje z aktorkami występującemi na scenie, aż wreszcie dokładne pojęcia faktów powoli dla niej znikały. Tyle mówiła o szczęściu, nadziei, przyszłości, że czynić to zaczęła z żywem biciem serca, jak gdyby szło o nią samą, a dzień 4 maja, na ślub oznaczony, zajmował ją szczerze i żywo. W kalendarzu wyszukiwała świętego patrona dnia tego, godziny, w której ślubne wejść i zajść miało, a spoglądając na jasne niebo, w myśli powtarzała:

— Otóż takiej pogody trzebaby nam na czwarty maja.

Co zaś do panny Małgorzaty, osóbki bardzo młodej, bardzo lękliwej i ograniczonego umysłu, najbardziej interesującą stronę tak ważnego w jej życiu wypadku stanowiły gałganki, w które ogromny majątek ojca obficie ją mógł zaopatrzyć.

Całemi niemal godzinami pieściła miękie materace, które jej pokazywano, doznając żywego wzruszenia, a nawet niepokoju przy wyborze ich barwy, a z całego domu, w którym na przyszłość miała zamieszkać, istotne zajęcie budziła w niej tylko olbrzymia garderoba, w której te wszystkie cuda zmieścić by się mogły.

W zamian Klara, przymykając oczy, widziała wybornie każdy szczegół mieszkania, każdy kącik, w którym kanapkę dla dwojga umieścićby można i inne bardziej ukryte w zimowym ogrodzie, który mógłby dać prawie złudzenie podróży na Wschód. Całkiem odmiennego, niż chlebodawczyni jej, charakteru zajmowała się przedewszystkiem uczuciową i domową stroną życia we dwoje, o niem tylko myślała i w niem odnajdywała marzenia z lat minionych, które nagłem nieszczęściem zostały przerwane. I to właśnie w połączeniu z gorzką myślą o osamotnieniu skłaniało ją nieraz do wypowiadania i kreślenia wyrazów tak pełnych uczucia i głębokiej miłości, które z własnej czerpała duszy dla opisania szczęścia tej całkiem obcej dla siebie istoty, iż nieraz zdumiona Małgorzata zapytywała:

— Skąd się to wszystko bierze u pani Mój Boże!

— Z serca... mogłaby na to odpowiedzieć Klara. Lecz ona poprzestawała na wrzuceniu kawałka trzymanego w ręku papieru w ogień kominka, mówiąc:

— Faktem jest, że sama już nie wiem, co piszę... Wszak to dziesiąty list dzisiaj... Odłóżmy resztę na jutro...

I powracała do domu ze zdziwieniem zapytując siebie: jak to być mogło, że młodą dziewczynę należało uczyć czuć i myśleć i że nawet, gdy ją uczono, zrozumieć tego nie mogła?

Kiedy nakoniec znalazła się w cichem i małem schronieniu, długo, długo myślała o rzeczach z rana widzianych, długim szeregiem wspomnień uprzytomniała sobie wszystko, na co codziennie patrzała przez trzy godziny: te dary do darów dodawane, te uprzejme powinszowania, uprzedzające zaproszenia, całą tę pomysłowość, z którą do tak świetnej już tkanki życia, dodawano jeszcze jedną nić świecącą. Nadewszystko zaś, nadewszystko te długie gałęzie białego bzu, które z kryształowego kubka wyrastały tuż przy miejscu, na którem ona pisała, a których woń i świeżość przejmowały ją uczuciem dziwnej rozkoszy... (D. n.).

Tłom. *M. Siemaszko.*

gdyż czuł nieprzeparty wstręt do roboty, 22 razy był już sądzony za włóczęgostwo i kradzież. Jeszcze inny, w okresie 1865—1889, był z powodu włóczęgostwa zatrzymywany 44 razy. Jeden specyalista kwestyi więziennej zaznacza, że charakter włóczęgów jest jednaki wszędzie, we Francyi, Anglii, Włoszech i Niemczech. Zdaje się — brzmi jego wyrok — że jakieś przeznaczenie wyryło swoje znamię na czołach tych nieszczęśliwców; zrodzeni z krwi zubożałej i zepsutej, spędzili pierwsze lata swego życia w nędzy, pozbawieni pożywnego pokarmu, w niezdrowem a smrodliwem powietrzu. Niepodobna oczekiwać, aby osobnik taki wyrwał się z tego zaczarowanego koła, do którego go rzuciła słaba budowa organiczna i dziedziczne zwyrodnienie.

Nasuwa się teraz pytanie, jaką rolę w zbrodnictwie mogą odegrać tego rodzaju żywioły? Z góry można przewidzieć, że zbraknie im energii nawet do wykonania jakiejś bardziej przerażającej swem okrucieństwem lub potęgą zbrodni. Do czego są zdolni histerycy i epileptycy, te pierwsze ogniwa zubożenia organicznego, do tego nigdy nie rzucą się te osoby, przedstawiające zubożenie krańcowe. „Ażeby źle postępować, potrzeba posiadać wolę, a tymczasem ja jestem tak bojaźliwy, że drżę ze strachu, gdy sam pozostanę w celce." W więzieniu Luksemburskiem dla małoletnich przestępców uczyniono spostrzeżenie, stwierdzone zresztą w innych miejscach, że malcy, pomieszczeni za cięższe przewinienia, byli wogóle zdolniejsi i ruchliwsi, tymczasem drobni winowajcy odznaczali się brakiem zupełnym zdolności, energii i woli. Ciekawe są wogóle głosy z powodu złodziejów, osadzonych za drobne kradzieże. Malują one ich jako istoty bez energii, bezwładne, niezdolne do pracy. „Ta klasa ludzi jest pozbawiona wszelkiej energii zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Składa się ona z jestestw słabego temperamentu i zepsutego charakteru." „Są oni leniwi i lubią życie wesołe, nie dbają o oczekujące ich losy; słabi, upodleni, pełzający, zawahaliby się nawet wyjść z więzienia na wolność, gdyby nadarzyła się szczęśliwa okoliczność. Ci drobni więźniowie są zarażeni podobnie drobnemi wadami; w więzieniu są istnymi niewolnikami, lękliwie posłusznymi dozorcom." „Drobni złodzieje posiadają budowę mózgu, w której niepodobna zasiać czegoś wielkiego a pożytecznego. Noszą w sobie coś więcej, niż zwykłe piętno grzechu pierworodnego. Ich lenistwo moralne, które przynieśli z sobą na świat przy urodzeniu i które wzmocnili przyzwyczajeniami złego życia, zmusza nas do posądzenia ich mózgu o układ limfatyczny. Złodziej zawdzięcza swoją rozpustę zarówno wrodzonej słabości swego pnia nerwowego, jak i wszystkim warunkom tej cuchnącej atmosfery społecznej, w której żył. Rzecz godna uwagi, że swojemi przestępstwami przypomina on poniekąd kobietę. Kradnie jak służąca, pchany drobną wartością przedmiotów; chyba że inni wciągną go do czegoś rozpaczliwszego, lecz wtedy występuje jedynie jako pionek. Nie zabija jak morderca, nie posiada bowiem dostatecznej siły fizycznej; nie uczyni fałszerstwa, bo zbraknie mu talentów naśladowniczych; nie uknuje sprzysiężenia przeciw życiu turysty, gdyż sama myśl o wysiłkach czatowania w lesie przygniata go swym ogromem; nie ukradnie wielkiej sumy, gdyż za wiele na to potrzeba śmiałości i zręczności."

W ten sposób mielibyśmy w społeczeństwie szczególny proces zwyrodnienia, wytwarzający coraz niższe typy fizyczne, fizyologiczne i duchowe, w miarę jak samo zubożenie organiczne bywa mniej lub więcej posunięte. Wśród natur, względnie jeszcze bogatych w soki odżywcze, zwyrodnienie występowałoby w niezdolności do systematycznych wysiłków, w nadmiernej a nieproporcyonalnej z pobudką wrażliwości; o ile to zwyrodnienie wzmaga się, bezwładność staje się coraz większą, aż do utraty nawet chwilowego wybuchu energii. Naturalnie ta sprawa degeneracyi może rozwijać się na bardzo odmiennym gruncie emocyonalnym: jeśli natrafia na jednostkę z uczuciami i popędami dodatnimi, uczyni ją ślamazarną, niedołężną do czynu, lecz jeśli padnie na osobę z żądzami niemoralnemi, stworzy przestępcę już zdolnego do silnej i potwornej zbrodni, lub na podłożu histerycznego lub epileptycznego zubożenia— zwykłego złodzieja, bez energii i odwagi. Źródło samego zwyrodnienia tkwi w niedostatecznem odżywianiu, mniejsza czy to będzie brak pokarmu lub powietrza, czy nadmiar narkotyków lub inna pokrewna przyczyna. Rozumie się, w dzisiejszych warunkach główną rolę odgrywa brak pożywienia. Autor zatrzymuje się nieco bliżej nad tym czynnikiem. Wskazuje on, że wśród żywiołów ludowych Francyi można spotkać bardzo często dzieciaki 15—16-letnie, niewyglądające jednak na więcej, niż lat 8 lub 9, młodzieńców 20-letnich, którym możnaby dać ledwie lat 14—15. U osób tego rodzaju spostrzega się jednocześnie powstrzymanie rozwoju organizmu; mózg jest pozbawiony krwi, system krwionośny słabo zbudowany, serce jakby niedorozwinięte, płuca nieudolne. Suchoty, anemia, skrofuły są nieodłącznymi towarzyszami tych typów ludzkich, alkohol zaś — bezmyślnie pochłanianym w wielkich dozach narkotykiem i dalszą przyczyną postępowego zwyrodnienia. Z tem łączy się osłabienie wszelkich zdolności umysłowych i półidyotyzm. Następstwa niedostatecznego odżywiania w tej mierze z łatwością można pojąć, jeśli się zważy, że anemia idzie w parze z zubożeniem organizmu, od bogactwa zaś krwi przypływającej do mózgu zależy zdolność do pracy umysłowej; znani są np. idyoci z normalnymi niemal rozwojem mózgu, lecz z wadliwie ubogim obiegiem krwi. Wielkie miasta są dzisiaj ogniskiem powstawania tej zwyrodniałej i chorobliwej rasy, które utrwalone dziedzictwem, rozmnaża się coraz liczniej i w coraz bardziej zwyrodniałej postaci.

Naszkicowaliśmy jedynie w ogólnym zarysie stanowisko Drilla. Kto zna prace włoskiej szkoły antropologiczno-kryminalistycznej, spostrzeże u tego autora pierwiastki, niekiedy zupełnie niespotykane, że już nie mówimy o ciekawem oświetleniu przedmiotu, mianowicie o przedstawieniu różnych kategoryj zbrodniczych, jako różnych ogniw postępującego zubożenia organicznego. Badacz ruski przypomina w tym razie francuskiego, Féré.

k—i.

GEOGRAFIA.

M. P. Rudzki. *O rytmicznych oscylacyach morza.* Odbitka z „prac matematyczno-fizycznych" (tom II-gi). Warszawa 1889.

Prace z dziedziny geografii fizycznej są u nas nadzwyczajną rzadkością; pominąwszy paru specyalistów cały ruch naukowy za granicą na tem polu pozostał nam prawie zupełnie obcym; tak ogół jak i geografowie-rutyniści przyzwyczajeni do dawnych szablonów, nie posiadając niezbędnych dla geografa podstaw matematyczno-przyrodniczych, sądzą iż co wychodzi po za ramy polityczno administracyjne, co wymaga pewnego natężenia myśli, to „nie należy do geografii." Z tem większą radością witamy więc pracę wyżej zatytułowaną, której autor podejmuje jedną z najtrudniejszych kwestyi geografii fizycznej, kwestyę zmian poziomu morza i rozwiązuje ją przynajmniej po części, stosując do niej metodę rachunków wyższych.

Wiadomo, że zmiany linii brzegowej, które na małą skalę zdarzają się w epoce obecnej, w dawnych epokach geologicznych przyjmowały tak wielkie rozmiary, iż dochodziły do kolejnego zalewu znacznych obszarów lądowych (transgresye) i ich wynurzania. Zmiany te zaczęto w ostatnich czasach przypisywać wraz z Suessem zmianom poziomu morza.

Przyczyny tych zmian mogą być rozmaite.

Naprzód ponieważ lądy przez atrakcyę wywołują podniesienie się poziomu wód u wybrzeży, więc przy zmianach masy lądowej (wzniesienie się gór, wyrzucenie mas wulkanicznych z wnętrza ziemi, spłókiwanie itd.) poziom wód u wybrzeży ulega lokalnym zmianom.

Dalej lody, gromadząc się u biegunów, mogą się powiększać (epoka lodowa) lub zmniejszać; powstające tym sposobem zmiany atrakcyi wpływają również na lokalną zmianę poziomu wód.

Wreszcie według teoryi Adhemara to gromadzenie się lodów u biegunów ma wywoływać prócz tego, ogólne peryodyczne zmiany poziomu wód wskutek przesuwania się środka ciężkości całej kuli ziemskiej. Według Adhemara bowiem gromadzenie się lodów (epoka lodowa) zależy od peryodycznych zmian mimośrodu drogi ziemskiej i od poprzedzania punktów równonocnych: gdy mimośród jest wielki a zima danej półkuli przypadnie w aphelium, to półkula ta ulegnie zlodowaceniu; tym sposobem to jedna to druga półkula ulega kolejno zlodowaceniu, a wskutek tego środek ciężkości kuli ziemskiej przesuwa się to na jedną to na drugą półkulę, za środkiem ciężkości zaś przelewają się wody.

Powyżej przytoczonych przyczyn autor tylko zlekka dotyka, jakkolwiek należałoby może więcej im miejsca poświęcić, mianowicie z tego względu, że w ostatnich czasach prace Helmerta zmodyfikowały zbyt wielkie rezultaty przypisywane pierwszej z powyższych przyczyn, prace zaś Hergesella i von Drygalskiego podały również w wątpliwość ilościową stronę drugiej przyczyny. Drygalski mianowicie obliczył, że dla objaśnienia wysokości obecnych znaków dawnej linii brzegowej w Skandynawii i Grenlandyi trzebaby przypuścić tam w epoce lodowej pokrycie lodowe na 9000 m. grube! (ob. nasza „kronikę geograficzną" w „Wiśle" III 1889 r. 149,150), podczas znów gdy Suess uważa te znaki za zjawisko czysto lokalne, przywiązane do wnętrza fiordów, powstałe wskutek zatamowania w nich wody przez lodowce.

Wreszcie trzecia przyczyna, teorya Adhemara uległa też ciężkim zarzutom ze strony klimatologów: według Wojejkowa istnienie wymaganej przez tę teoryę olbrzymiej masy lodowej (Eiscalotte) od bieguna do 45° jest niemożliwe, przypuszczając bowiem pochyłość jej powierzchni tylko na $\frac{10}{3}$ to jest 1 na 270, wzniesienie środka masy nad jej skrajem wynosiłaby $\frac{111 \times 45}{270} = 18$ klm., to jest masa musiałaby sięgać wyżej niż wysokość jednorodnej atmosfery, wyżej niż jakiekolwiek ślady pary wodnej; skądżeby lód tak wysoko wziął materyał do swego utworzenia?

Zresztą autor obiecuje zwrócić się do teoryi Adhemara innym razem, w omawianej zaś pracy zwraca się głównie ku innym przyczynom zmian poziomu morza, mianowicie ku *zmianom szybkości kątowej wirowego ruchu ziemi* oraz ku pewnej *perturbacyi* w tym ruchu zbadanej przez Maxwella.

1. *Zmiany szybkości kątowej* mogą nastąpić z różnych przyczyn, a mianowicie: a) wskutek tarcia przypływów morza i wewnętrznej masy (jeżeli wnętrze ziemi nie jest bezwzględnie sztywne); b) wskutek kurczenia się ziemi przy oziębianiu: c) wskutek powiększania się jej masy przez spadające na nią pyłki kosmiczne; d) wskutek pe-

wnego zjawiska termodynamicznego (mianowicie, że opóźnienie w ruchu wirowym sprowadza rozgrzanie, które przeciwdziała oziębianiu, a więc kurczeniu).

Przyczyny *a*, *c*, *d* wywołują opóźnienie, *b* przyśpieszenie wirowania. Wszystkie jednak te zmiany są bardzo drobne. Prócz tego zmiany te nie mogą wogóle wywołać zmian *rytmicznych* poziomu morza.

2. *Perturbacya* polega na tem, iż jakkolwiek obecnie oś obrotowa ziemi jest prawie identyczna z osią symetryi cynetycznej i największego momentu bezwładności, to jednak wznoszenie się lub zapadanie lądów może zmienić wzajemne położenie tych osi: oś przyciągania może utworzyć pewien kąt (Θ) z osią obrotową, a wskutek tego równik przyciągania nie będzie identyczny z równikiem siły odśrodkowej (są to płaszczyzny, przeprowadzone przez środek bezwładności ziemi: jedna prostopadle do osi przyciągania, druga — do osi obrotu). Oba równiki przecinają się wzdłuż pewnej prostej; ponieważ jednak, jak to obliczenie przekonywa, oś przyciągania obchodzi oś obrotu w ciągu mniej więcej trzystu dni, przeto linia przecięcia się obu równików będzie wciąż zmieniała swe położenie. Punkty równika przyciągania będą przez połowę tego trzystudniowego peryodu znajdowały się pod równikiem siły odśrodkowej, a przez drugą połowę — po nad nim; punkty leżące powyżej lub poniżej równika przyciągania, będą miały coraz to mniejsze okresy przebywania nad lub pod równikiem siły odśrodkowej. Te które są o kąt Θ od pierwszego równika oddalone, będą tylko raz w ciągu trzystu dni dotykały drugiego równika, a po stu pięćdziesięciu dniach dojdą do położenia o kąt 2Θ (licząc od środka ziemi) odeń oddalonego. W każdym danym punkcie na powierzchni ziemi przyciąganie jest stałe; siła zaś odśrodkowa jest największa na równiku siły odśrodkowej; każdy punkt powierzchni ziemi będzie wchodził kolejno w różne sfery siły odśrodkowej. A zatem każdy punkt na równiku przyciągania będzie miał dwukrotne podniesienie poziomu wód, w chwili gdy przechodzi przez równik siły odśrodkowej; dwukrotne *minimum* w chwili, gdy jest oddalony od tego równika o kąt Θ. Minima i maxima przypadną w prawie równych odstępach czasu; obydwa podniesienia poziomu będą jednakowe. Punkty po obu stronach równika przyciągania, leżące w pasie szerokim na kąt Θ, mają także dwa minima i dwa maxima w ciągu trzystu dni, lecz w nierównych odstępach czasu; przytem minima i maxima nie będą tu jednakowe. Punkty leżące po za tym pasem, mają tylko jedno minimum i maximum w ciągu trzystu dni.

Wskutek tych peryodycznych zmian siły odśrodkowej w danym punkcie muszą nastąpić peryodyczne zmiany poziomu morza. Nie są one jednak znaczne, gdyż w krańcowym, przyjętym przez autora przykładzie, mianowicie przy wzniesieniu się lądu, tak wielkiego, jak Azya i wysokiego na 3 klm. (od dna morza), dają wszystkiego 3 m. wzniesienia poziomu morza; są przytem zbyt krótkotrwałe, nie mogą więc objaśnić nam wielkich transgresyj.

Jakkolwiek więc z teoretyczno-matematycznego punktu widzenia roztrząsania autora są niezmiernie ciekawe, to z praktyczno-geograficznego mają przeważnie znaczenie tylko rezultatu ujemnego: wykazują, gdzie nie należy szukać przyczyny wielkich zmian, zacieśniają pole przyszłych przypuszczeń i przez to ułatwiają badania. To też i dla samego autora praca jego jest czemś przedwstępnem, niejako usunięciem drobnych zawad, oczyszczeniem gruntu na drodze do głównego celu, głównego zadania, to jest wyszukania przyczyny wielkich transgresyj, które autor spodziewa się znaleźć na podstawie zastosowania metody ilościowej do teoryi Adhemara.

Nie chcemy przesądzać przyszłych badań autora mimo wyżej przytoczonych zarzutów, jakie spotkały teoryę Adhemara, pozwolimy sobie tylko zwrócić uwagę, czy najprostsze rozwiązanie tych kolejnych zmian poziomu, tych wielkich transgresyj i peryodów lądowych nie leży raczej w orzeczeniu wiedeńskiego geografa Pencka, iż wahania te wynikały prawdopodobnie z ruchów skorupy ziemskiej (kurczenie się ziemi), przy których różnica między średnią głębokością oceanów a średnią wysokością lądów (wynosząca obecnie 4,000 m.) mogła się powiększać i zmniejszać. Gdy różnica ta się powiększa, to woda skupia się w zagłębieniach, a ląd wzrasta; gdy różnica zmniejsza się, to woda występuje z brzegów, zalewa ląd. Tak więc peryody morskie (peryody transgresyi) można uważać jako czasy, w których różnice wysokości między dnem morza a powierzchnią lądu były nieznaczne; peryody zaś lądowe — jako doby, w których różnice te były wielkie. Obecnie np. mamy peryod lądowy: poziom morza leży mniej więcej na wysokości krawędzi lodowej, albowiem znajduje się ona tylko na głębokości 200 m., od której dopiero począwszy dno morza spada ku wielkim głębinom, czyli ku właściwemu łożysku oceanów; tylko więc bardzo blizkie brzegu części morza płytsze, niż na 200 m., mogą być uważane za nadbrzeżne zalewy lądu, za dzisiejsze transgresye.

Jeżeli zastosowanie metody ilościowej do tej idei jest możliwe, to przyniosłoby ono, jak sądzimy, ważniejsze rezultaty, aniżeli hipoteza Adhemara.

W. Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

CZYNNIKI SPOŁECZNE W LITERATURZE.

III.

Pierwszy pisarz, który starał się zbadać związek pomiędzy dziełem sztuki i zewnętrznem, przyrodzonem, i społecznem otoczeniem, był H. Taine. „Metoda jego — mówi Hennequin *) — jest swego rodzaju dyalektyką, która polega na przejściu od dzieła do człowieka fizycznego, do człowieka wewnętrznego, do jego duszy; potem do przyczyn tej konstytucyi psychologicznej.“ Zauważmy naprzód, iż metoda dyalektyczna jest w danym wypadku zupełnie usprawiedliwiona. Metoda Hegla, badająca zjawiska w ich ciągłości i ruchu, otrzymuje w naukach moralnych i społecznych coraz znaczniejsze prawa obywatelstwa, gdyż oinnego rodzaju badaniu w dziedzinach tych mowy nawet być nie może. Niechaj was nie przestrasza wyraz „dyalektyka“: dla ochrzczenia metody, jakiej używał tani pozytywizm, ironia heglistów wymyśliła jeszcze okropniejsze przezwisko — „metafizyki.“ Metafizyka bada zjawiska w ich odrębności, dyalektyka — w ich ciągłości. Metafizyka, opierając się na wszystkich środkach i narzędziach indukcyi, dała nam analizę — nie zupełną jeszcze — świata. Dyalektyka daje nam początki jego syntezy. Metafizyka, badająca zjawiska w ich odrębności i prostocie, mogła w każdym oddzielnym wypadku wskazać przyczynę i skutek; dla dyalektyki, mającej do czynienia ze splotami wzajemnie oddziaływających na siebie wpływów, postępowanie takie staje się niemożliwością. W dwu np. szeregach rozwijających się zjawisk, jakiemi są ewolucya mózgu i „ducha“ w królestwie zwierzęcym, proszę mi wskazać „przyczynę“ i „skutek“? Czyż w ogóle może być postawione tak pytanie dzisiaj, kiedy współzależność ciała i duszy jest już tak dobrze ustanowiona?

Szkolne kategorye logiczne mogą być ze skutkiem zastosowane tylko w dziedzinach mających do czynienia ze zjawiskami tak prostemi, jakie spotykamy w fizyce lub chemii, albo też przy analizie w oderwaniu zjawisk bardziej złożonych, we wszelkiej zaś próbie syntezy nie tylko psychologicznej lub socyologicznej, ale nawet bijologicznej, pojęcia „przyczyny“ i „skutku“ ulegają dziwnym losom, zamieniając na każdym kroku role, tak, że każdy wpływ jest zarazem przyczyną i skutkiem każdego innego. Widząc więc złożony splot sił, wzajemnie na siebie oddziaływujących, mamy prawo którąkolwiekbądź uważać za „przyczynę,“ zadanie badacza polega tylko na tem, by wybrać tę siłę, która wywiera wpływ najprzeważniejszy i modeluje w sposób stanowczy rozwój innych sił, znajdując się jednocześnie pod ich oddziaływaniem.

W taki sposób postępował — jakkolwiek nieświadomie — Darwin wybierając z nieskończonego mnóstwa wpływów, określających rozwój organiczny, tylko kilka przeważnych, decydujących. Nieznaczną też liczbę starają się jeszcze ograniczyć współcześni badacze tak np. Weissman odrzuca dobór płciowy, jako samodzielny czynnik tego rozwoju. Tak czynią Marx, Engels, Morgan, Lippert i inni, uważając postęp techniczny za istotę społeczną. Tak samo nareszcie czyni Taine i cała szkoła „krytyki naukowej,“ starając się zredukować rozwój literatury i sztuki do kilku czynników przeważnych i stanowczych. Rozumie się, większość tych pisarzy, przyjąwszy nieświadomie dyalektyczną metodę myślenia, jeszcze dotychczas ostrzy groty, którymi mierzy w Hegla. Nie mówię już o rozmaitych „radykałach — induktywistach“ — *risum teneatis amici!* — którzy za największą dla siebie obrazę uważaliby chociażby podejrzenie o znajomość poglądów niemieckiego filozofa, a zarazem jednego z najpotężniejszych umysłów, jakie ludzkość wydała. Nie możemy się tu dłużej nad tą kwestyą zastanawiać: chętnych odsyłamy do znakomitego dzieła Fryderyka Engels'a: „Herrn Dühring's Umwälzung in der Wissenschaft,“ tembardziej, iż kwestya materyalizmu historyozoficznego, którego pewne twarde główki w żaden sposób pojąć nie mogą, jest w znacznym stopniu kwestyą metodologii. Nic dziwnego, iż przy tym rozpaczliwym stanie, w jakim wykształcenie filozoficzne znajduje się u nas, prawowierni „induktywiści“ nie tylko nie potrafią pojąć, iż w naukach społecznych i moralnych dyalektyka jest nieodłączna od indukcyi — gdyż opiera się na rezultatach dostarczonych przez „metafizykę“ — ale wprost dostają spazmów od samego dźwięku wyrazu „dyalektyka.“

Jedną z największych zasług Taine'a jest to, iż zastosował on metodę dyalektyczną do krytyki i w ten sposób nadał jej grunt czysto naukowy.

Każda muszla nasuwa nam myśl o ślimaku, który w niej żył i rozwijał się. Tak samo każde dzieło sztuki jest *symbolem* swego autora. Wykrycie związku pomiędzy dziełem i autorem jest pierwszem zadaniem krytyki. Następny krok polega na wykryciu przyczyn, które utworzyły duszę autora: temperament, idee, uczucia. Pod tym względem Taine wskazuje na istnienie stosunków zależności pomiędzy naturą i istotą pisarza lub artysty, a *rasą*, do której należy, *środkiem*, w którym się rozwija i *momentem*, w którym się pojawił (*Histoire de la littérature anglaise* i *Philosophie de l'art*). Największym brakiem tej teoryi jest to, iż nie zawiera ona żadnej ścisłej hierarchii powyższych sił. Z jednej strony uważa Taine w *Historyi literatury angielskiej* rasę za główny czynnik rozwoju literackiego i to—jak słusznie zauważył prof. E. Rod *)—nadało całemu dziełu charakter dedukcyjny. Z drugiej strony w *Filozofii sztuki* głównym czynnikiem staje się otoczenie społeczne, „duch czasu“ (w który wchodzi już i „moment,“ jako cała poprzednia kultura).

*) E. Hennequin. *La Critique scientifique* str. 13. Paryż 1889.

*) *L'histoire littéraire et la critique scientifique* (L'Indépendant littéraire, 1889).

Wynikło stąd pomieszanie pojęć, masa sprzeczności i zupełna dowolność wywodów, zależnie od tego, czy autor chciał stanąć na punkcie widzenia jednej lub drugiej siły. Hierarchia tych sił musi być ustanowiona i próbę jej postaramy się przeprowadzić.

Zacznijmy od rasy. „Weźmy np. rasę aryjską — mówi Taine we wstępie do *Hist. lit. angielskiej*. Jest ona rozproszona od Gangesu do Hebrydów. Przeszła w ciągu trzydziestu wieków przez najrozmaitsze rewolucye. Żyje we wszystkich klimatach, jest rozłożona na wszelkich szczeblach cywilizacyi. A jednak przejawia w swych językach, religiach, literaturach i filozofiach wspólność krwi i ducha, która jeszcze dotychczas łączy wszystkie jej szczepy. Jakkolwiek są one różne, pokrewieństwo nie jest zniszczone. Dzikość, kultura i hodowla, rozmaitość gruntu i nieba, wypadki szczęśliwe lub nieszczęśliwe mogły sobie działać — wybitne rysy formy oryginalnej zachowały się i odnajdujemy je w dwóch lub trzech znamionach pierwotnego wycisku, pod wyciskami powtórnymi, które czas zgóry nałożył.“ Było to pisane, po raz pierwszy, przed dwudziestu kilku laty, gdy antropologia opierała swe klasyfikacye „rasowe“ na znamionach zupełnie powierzchownych, z gruba podpatrzonych. Późniejsze badania wygładziły wiele różnic, dostrzegły płaszczyzny tam, gdzie dawniej widziano przepaści nieprzebyte, a nad wielu zarzuciły mosty trwałe. Gdyby szanowny badacz zechciał sprawdzić ówczesne swe twierdzenia na zasadzie współczesnej antropologii, to jeżeliby ich nie przekreślił od początku do końca, na pewno przytępiłby ich doraźność i zmniejszył wagę.

(D. n.).

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

V.

Rozrzucone po pismach peryodycznych nowele Prusa, zebrane i wydrukowane zostały przez Spółkę Nakładową w czterech tomach (Warszawa, 1885). W zbiorze tym umysłowa fizyognomia autora mieni się swoimi znamiennymi rysami, które już poznaliśmy. Mamy tu naprzód ów śmiech farsowy, pusty, który go napadał często w początkach piśmienniczego zawodu. Dwaj przyjaciele („Orestes i Pylades“) żyli złączeni jak jedna dusza w dwu ciałach; dostali się też razem do więzienia za fałszowanie stempli. Drzymalski („Podwójny człowiek“), stary kawaler spotyka przyjaciela, który namawia go do natychmiastowych oświadczyn jego siostrze, uwieńczonych odkoszem. Młodzieniec wróży sobie z gwiazdy na niebie, że go ubóstwiana kocha, a ona tymczasem z innym koło niego się przesuwa („Kocha — nie kocha“). Posiadacz starej kamienicy i za młodej żony („Pan Dudkowski i jego folwark“), którą pewien blady młodzian pociesza, został przez lekarzy wysłany na wieś, gdzie kupił sobie dom z ogrodem i kilkoma morgami gruntu. Od pierwszej chwili zwalają się na niego wszystkie kłopoty ziemianina. Rozgniewany, złapawszy wyrostka w malinach, obił go. Miejscowy nauczyciel, w porozumieniu z żydkiem i pokątnym doradcą, grożą mu odpowiedzialnością sądową, którą on okupuje 200 rs. na korzyść matki chłopca, chociaż ta, zastąpiwszy odjeżdżającemu drogę, prosi o kilka groszy za pobicie. Jest to znakomicie skreślona scena. Wymowną jest również postać strażnika, pilnującego złodziei tam, gdzie ich niema. Do tej kategoryi należą także „Grzechy dzieciństwa,“ historya figlów i psot gimnazisty, oraz romansu z córką hrabiny, u której jego ojciec służył jako oficyalista. Tylko że o ile te psoty opowiedziane są z rzetelnym humorem i znajomością świata dziecinnego, o tyle ów romans ma kilka momentów nieszczęśliwie podrobionych. Dość powiedzieć, że drugoklasista, szukając osy, która wlazła pod ubranie młodszej od niego hrabianki, ze wzruszenia mdleje, a dowiedziawszy się, że ten wypadek wywołał zgorszenie we dworze, powiada do siostry:

— „Ja... muszę się ożenić z Lonią.“

Heine dowcipniej opisuje w „Buch Le Grand“ swoje lata szkolne, ale i humor Prusa ma w tym obrazku błyski olśniewające. Jego mały bohater, znany typ zdolnego a nieokiełznanego urwisa, maluje się tak wiernie, że przypomina nam setki podobnych okazów. „Stopnie z innych przedmiotów — powiada on — zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali, albo, czy leżąca na poprzedniej ławce książka była otwarta na właściwem miejscu. Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczaił się do *wypukiwania* mnie z klasy w czasie lekcyi i do widywania się ze mną po lekcyach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypomniałem się jego pamięci... Wogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole robiło pewną popularność, tem istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencyi.“

Młody Furdasiński odziedziczył po ojcu czystą Furdasówkę („Stara bajka“). Ale „o ósmej pił śniadanie, potem uczył swego szpaka gadać lub gwizdać, koło południa jadł drugie śniadanie, po śniadaniu trochę drzemał, o czwartej spożywał obiad, a po obiedzie albo znowu uczył szpaka i rozmawiał z ekonomem, albo jechał do sąsiadów na partyjkę. Regularny tryb życia łamał się parę razy na rok, mianowicie w czasie karnawału i w czasie wyścigów; wtedy bowiem pan Furdasiński zabierał karetę, cztery konie, furmana, lokaja i chłopca i jechał na cały miesiąc do Warszawy.“ Pomimo to gdy chłop kupił jego wioskę (zaważmy tu charakterystyczny rys sentymentalizmu w talencie Prusa), zaproponował mu z całą uniżonością, ażeby mu dalej zarządzał. Panu wstyd było służyć u wieśniaka, więc poprosił tylko: „chowajcie mi szpaka, dopóki miejsca nie znajdę“ (a ptak umiał wołać: „djabli wzięli Furdasówkę“) i z 1,000 rs. wyjechał do Warszawy. Gdy mu pozostało już tylko 200, przeczytawszy ogłoszenie o wakującej posadzie inkasenta, poszedł do kantoru. Tu wyłudzono od niego pieniądze pod pozorem kaucyi; byłby je stracił, gdyby nie wdanie się matki oszusta. Przejadłszy resztkę zasobów, upadł nieprzytomny z głodu na ulicy i ocknął się dopiero w szpitalu, gdzie go poznał lekarz, dawny kolega szkolny i dał mu miejsce w fabryce. Wtedy Furdasiński sprowadził sobie szpaka.

Prus w kreśleniu postaci i stosunków jest realistą, ale realistą *sui generis* — w szczegółach. Każda jego figura, każdy obraz posiada w sobie znamiona, które tylko z życia wzięte być mogły, ale które w połączeniu stanowią takie całości, jakich życie nie wytwarza. Zobaczymy to na wielką skalę w *Lalce*, tu zaś zapytajmy: czy wyobrażamy sobie chłopa, któryby zarząd nad nabytym folwarkiem powierzył Furdasińskiemu, lekkoduchowi i próżniakowi? Prus tę sprzeczność zaciera konceptem: wieśniak usprawiedliwia swoją chęć wzięcia za rządcę dawnego swego pana tem, że mu dał 10 witek za zaniedbanie dworskiego siana, a 15 dołożył za to, że przez jarmark zgniło chłopskie. Jest to psychologia prawdziwie humorystyczna. Pozwala ona też Prusowi naginać duszę prostaczą według upodobania w niezwykłych kierunkach. W jego pojęciu chłop jest zwierzęciem o wielkiem sercu: w miarę potrzeby przeto obraca on go albo stroną zwierzęcą, albo czułostkową, a ile razy dwie te strony nie spajają się z sobą, skleja je takim, jak powyższy konceptem.

„Na pograniczu“ w małej mieścinie chrześcianie trudnią się kontrabandą, a żydzi, których przebiegłym wspólnikiem jest pisarz gminny, a mimowolnym wójt — sprzedażą przemycanych towarów. Jeden ze szwarcowników wydobył i ukrył zatopioną skrzynkę, która miała zawierać klejnoty, a zawierała proch. Żydzi mu ją wykradli, a otwierając nieostrożnie, spowodowali wybuch, który jednego z nich podrzucił z łóżka do sufitu i... uleczył z paraliżu. Jest to powiastka słaba, zawierająca tylko parę doskonałych szczegółów ze stosunku pisarza i wójta.

Obok tego humoru, niezawsze świadomego swych celów i często rozlewającego się bezładnie, mamy we wspomnianym zbiorku łzawy, zwykle opromieniający aureolą maluczkich, nieszczęśliwych i upośledzonych. Stary mecenas, wygodniś i dziwak nie mógł znosić katarynek, a nawet wynajął mieszkanie z warunkiem, że one na podwórzu grać nie będą. Spostrzegłszy jednak raz przez okno, jak w przeciwległej oficynie ociemniała dziewczynka zachwycała się uszczęśliwiona muzyką tego znienawidzonego instrumentu, pogodził się z nim („Katarynka“). Nienagrodzony na wystawie wynalazca nowej postaci guzików („Pominięty“) opowiada autorowi dzieje swego pomysłu i rozczarowania. Jak dziwnem powinowactwem łączy się wesołość ze smutkiem w piórze Prusa, jak on mistrzowsko umie nadać życie i „potęgę“ istotom i rzeczom najdrobniejszym, bo nawet kurzowi (str. 115) — świadczy ta powiastka. Biedny marzyciel, który łagodzi wewnętrzną gorycz piwem, mówi po długim wywodzie o ważności guzików: „A w polityce, myśli pan, guziki nie nie znaczą? Kiedy prusacy w r. 1870 we stu konwojowali cały pułk francuski do fortecy, to co im dla bezpieczeństwa zrobili? Nie wiązali chłopów, tylko oberżnęli im wszystkie, wszyściuteńkie guziki. Rozumieli gałgany, że taki, co musi nieść w rękach całe odzienie, nie będzie robił polityki.“ Dobrze pomyślanym, ale słabo w stosunku do talentu wykonanym, jest obrazek „Milknące głosy.“ Stary pułkownik, który odbył kilka kampanij, pod wpływem tęsknoty wraca do Francyi, gdzie znajduje twarze obce, stosunki zmienione, a dusze dlań chłodne. Również zbyt obstalunkowo wygląda utwór „Echa muzyczne“ (napisany dla tygodnika z podobnym tytułem). Są to dwa luźnie zczepione fragmenty, z których jeden przedstawia niedolę zmarnowanego talentu, drugi — rozbrojenie muzyką surowości feldfebla, który pozwolił wpuścić kobiety dla widzenia się i pożegnania z rekrutami. Francuz, którego potrzeba zarobku skazała na tułaczkę, jako guwerner kilkakrotnie zbiera sobie pożądany fundusik i ma powrócić do kraju, ale zawsze jakieś nieszczęście, dziwnie łączące się z księżycem, pozbawia go oszczędności i przecina mu drogę. Ostatnio służy on i dworuje polskiemu paniczowi, który nim poniewiera, gdyż ojciec przyobiecał obdarzyć guwernera gratyfikacyą pod warunkiem, że syn będzie z niego zadowolony („Przy księżycu“). Smutna to, rzeczywistością i fanatycznemi rojeniami zapisana kartka z dziejów ludzkiej nędzy.

Najpiękniejszą może rosą łzawego humoru perli się maleńka powiastka, obejmująca wielki dramat p. t. „Kamizelka.“ Biedny urzędnik dogorywa w suchotach: podczas gdy żona, chcąc utaić przed nim jego chudnięcie, skraca mu stopniowo pasek u kamizelki, on w tym samym celu posuwa sprzączkę. Śmierć kładzie koniec tym serdecznym podstępom.

Pominąwszy obrazek „W górach“ (opis wejścia i zejścia z wysokiej góry, przyczem niemiec, ulegający zawrotom głowy, rzucił się w przepaść, a spadłszy w bezpieczne miejsce, wskazał innym utraconą podczas mgły drogę), pozostałe drobne w czteromowym zbiorze („On,“ „Żywy telegraf,“ „Na wakacyach,“ „Pleśń świata,“ „Cienie“) stanowią uplastycznienie życiowe jakiejś myśli lub spostrzeżenia. Tak np. w „Cieniach,“ gdzie rysuje sylwetkę nieznanego

człowieka, zapalającego w nocy latarnie, autor powiada: „W pomroce życia, gdzie poomacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, po ciemnych manowcach życia uwijają się również latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce r oznieca światło, żyje niepoznany, trudzi się nieoceniony, a potem znika jak cień...“

Zaznaczyliśmy wyżej, że gdy humorysta nastroi się poważnie, wpada zwykle w melodramat i wtedy okazuje największą słabość. Oprócz pojedynczych scen tej ponurej barwy, napisał Prus trzy powiastki, przeważnie nią zaprawione. Pierwszą z nich jest „Przeklęte szczęście“ (1876). Młody i zdolny mechanik, Wilski, ożenił się z ubogą dziewczyną, a jednocześnie stracił posadę u bankiera Welta. Już bieda pokazała mu swe zęby, gdy przyjciel, przybyły z nad granic Azyi, obstalunkiem tartaka parowego ją odegnał. W rozmowie wspomniał on, że żona Welta kochała się w Wilskim. Myśl ta uwięzła w głowie czułego dotąd małżonka, który odziedziczywszy znaczny spadek w Krakowie po zmarłym stryju, wyjechał, ale z Weltową. Zagadkowa ta kobieta, której nawet on nie rozumiał, moralizująca samica, rodzaj Dalili, porzuca kochanka, który umiera na grobie żony. W tym zlepku nieprawdopodobieństw i okropności czasami zaświeci humor Prusa, ale całość sprawia wrażenie płodu niedojrzałego, a nadewszystko niewyłonionego z istoty talentu autora.

Jeszcze więcej tych ciemnych nieprawdopodobieństw, pomieszanych z chichotliwą farsą, zawiera drugi melodramat p. t. „Dusze w niewoli“ (1877). Malarz Lachowicz ma ojca pijaka i dwukrotnego kryminalistę, którego chroni przed ponownem więzieniem, i siostrę na pensyi. Nie mogąc pracą utrzymać siebie i obu tych istot, zaciąga długi, zwłaszcza u kolegi Sielskiego, który mu do każdej pożyczki dosypuje garść obelg. W tym ostatnim kocha się mężatka Leontyna, którą u niego spotyka Lachowicz i zobowiązuje się milczeć, ale pod warunkiem, że Sielski nie wystawi na konkurs swego obrazu. U sunąwszy współzawodnictwo lichego artysty, zdobywa nagrodę i sławę. Sielski jednak mści się za ten tryumf na Lachowiczu: zniechęca do niego swą kuzynkę, którą ten pokochał i która z rozpaczy umiera w innym związku, a przedtem jeszcze złapawszy jegoojca złodzieja w swem mieszkaniu, sprowadza syna wobec pewnego literata, ażeby się nasycić jego cierpieniem i hańbą. Po wyjaśnieniu wszakże nastąpiła między kolegami zgoda. Ponieważ Leontyna uciekła z kimś za granicę, więc Sielski pokochał siostrę Lachowicza, Zofię Dręczony wyrzutem sumienia, że go unieszczęśliwił, przestał u niego bywać, zwłaszcza że Zosia w miłości ostygła. Dowiedziawszy się jednak, że tajemnie postawił nagrobek jej ojcu, oddała mu swą rękę.

Podobną osnowę (w której mnóstwo nici i węzełków opuściliśmy) mogła udziergać tylko chęć wymyślenia na każdy numer (w *Kuryerze warszawskim*) czegoś niezwykłego a jaskrawego. Wypadki są dziwnie fantastyczne i sztucznie powiązane. Prus pragnąc i tu ewangielicznie „podwyższyć poniżonych,“ nurza swego bohatera w upodleniu i wzgardzie, tak zawzięcie, że czyni go wstrętnym. Pojmujemy jeszcze tego Lachowicza, kiedy się poniża z potrzeby, ale nie rozumiemy go, gdy to robi jak gdyby z nałogu — np. zobowiązuje się, sam będąc „genialnym,“ dochować tajemnicy miłosnej koledze, jeżeli ten, lichy malarz, nie wystawi swego obrazu. Zyskawszy nagrodę, pozwala mecenasowi sztuki tak z sobą rozmawiać:

— „Dam (za obraz) tysiąc rubli.

— Daj pan, ile się panu podoba (to mówi człowiek, który chce wydobyć się z długów).

— To dam tysiąc dwieście, bo mi się tyle podoba. Będziesz pan miał okrągłe dwa tysiące rubli.

— Dwa tysiące rubli.

— Ci bazgracze... ooo... ooo!.. powiadają, że u nas nie ma kto płacić. Miejcie tylko geniusz, za geniusz wszędzie płacą.

— Dziękuję panu.

— Dobrze. Ale pieniądze dopiero jutro oddam. Obraz zostawię na pół roku Towarzystwu, a potem w pakę i do domu.

— Rób pan, jak mu się podoba.

— Ja też tak zrobię. Nie tak wprawdzie, jak *mu* się podoba, ale jak *mnie* się podoba. Dobranoc.“

Nawet w szczegóły realistyczne powieść ta jest dziwnie ubogą i pozostaje ciągle panoramą karykatur, bądź w nastroju farsy, bądź melodramatu.

(D. c. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Niedoskonałość kodeksów i dopełnianie ich. — *Lynch law* w Ameryce i u nas. — Zemsta trapionego ludu. — Pożar Biały. — Pastwienie się nad koniokradem. — Wybuch dzikiej rozpaczy. — Etyka a psychologia. — P. Bogusławskl o przesileniu teatralnem. — Trzy pragnienia i jedno wspomnienie. — Jak teatr traktuje dramaturgów miejscowych. — Powracający uczniowie. — Podwyżka kosztów edukacyi prywatnej. — Za wysoka jednostka pieniężna.

Przy obecnej rozmaitości ludzi, ich charakteru, ukształcenia, natury wrodzonej i nabytej, zamożności materyalnej, — doskonałego, sprawiedliwego i przewidującego wszystkie starcia interesów kedeksu ułożyć niepodobna. Salomonowa mądrość nie wymyśli słusznej reguły dla najprostszego przypadku: Piotr zaciągnął pożyczkę u Jana, co powinien zrobić? Naturalnie — odpowiadamy — w oznaczonym terminie ją zwrócić. Ale zastanówmy się, że ten Piotr może być człowiekiem bogatym i nędzarzem, może dla pokrycia długu potrzebuje tylko otworzyć kasę ogniotrwałą lub też musi ogłodzić swoją rodzinę, że stosunek między wierzycielem a dłużnikiem może przybrać najrozmaitsze postacie, a mimo to dla wszystkich jego odmian prawo ma jedną maksymę: Piotr powinien oddać Janowi, co wziął od niego. Innym razem Jan ukradł Piotrowi krowę; ale znowu ów Piotr może być posiadaczem licznej obory, którego strata jednej krowy nie zuboży, lub też biedakiem, dla którego krowa była znaczną częścią majątku, żywicielką jego dzieci. W obu wszakże wypadkach kodeks ukarze złodzieja bez uwzględnienia zamożności poszkodowanego i wysokości jego krzywdy. We wszystkich też społeczeństwach dopełniano prawo sprawiedliwością dodatkową, przewidzianą przez nie i dozwoloną lub nawet zakazaną. Odgrywało tę rolę bądź sumienie sędziów koronnych, bądź sądy przysięgłych, bądź opinia publiczna, bądź wreszcie wybuchająca nagle mściwość. Najwyraźniejszym objawem tej ostatniej śród społeczeństw ucywilizowanych jest amerykańskie *lynch law*. Złapanemu na gorącym uczynku zbrodniarzowi obecni wymierzają sami karę natychmiastową, po której on zwykle zostaje wymeldowany z tego świata. Tylko szerokie stosowanie takiego obyczaju, ale nie sama jego istota, tłomaczy się walką kolonistów europejskich z dzikimi indyanami; mniej lub więcej bowiem rozpowszechniony, mniej lub więcej surowy panuje dotąd wszędzie. W narodach najbardziej oświeconych zdarzają się wypadki, których świadkowie zbrodni, nie mogąc pohamować swej zgrozy, rzucają się na przestępcę i kaleczą go lub zabijają. Naturalnie, gdzie kultura jest niższą, tam podobne wybuchy zemsty bywają częstsze. U nas zwracają się głównie przeciw podpalaczom i koniokradom. Oba te rodzaje przestępców mają nanaszym gruncie szczególne znaczenie. W Europie zachodniej ludzie również kradną konie i podpalają domy, ale nie dopuszczają się tego tak często i nie z takim dla dobrobytu ogólnego uszczerbkiem. Ogień stał się u nas w ręku osobników złych pospolitym środkiem dokuczenia i walki. Ktoś pozwał kogoś do sądu za wypasienie łąki lub złodziejstwo, zbałamucił mu żonę, lub obił chłopca — obrażony lub skrzywdzony podkłada mu pod stodołę lub chatę garść tlących się pakuł, nasyconych naftą. Dzięki zaś materyałom budowlanym naszych wsi i miasteczek, pożar nie ogranicza się na jednem siedlisku, lecz ogarnia nieraz całą osadę. Przed paru dniami spłonęła Biała; według pogłoski, ktoś podpalił swój dom z obawy, ażeby objeżdżająca gubernię siedlecką komisya nie obniżyła mu wysokiego szacunku rudery. Ale ogień nie poprzestał na tej ruderze i zniszczył 150 domów i 180 zabudowań gospodarczych, pozostawiwszy 5,000 ludności bez dachu. Jeżeli takie zbrodnie powtarzają się często i rujnują biedaków, co dziwnego, że oni złapawszy podpalacza, z rozpaczy i gniewu, wykonywają na nim *lynch law* i np. rzucają go w płomienie? Toż samo dzieje się z koniokradami. Wiadomo, że w niektórych okolicach grasują liczne i uorganizowane bandy złodziejów końskich, że one występują jawnie, nakładając na dwory i chaty podatki i grożąc za oskarżenie ich zemstą, że nieraz chłop, poznawszy gdzieś swego konia, boi się upomnieć o swą własność, ażeby go opryszkowie nie spalili lub nie ogołocili z dobytku. Wyobraźmy sobie, co cierpieć musi i jak i wściekły gniew żywić ludność, wystawiona na pastwę takiej zgrai, która ją ciemięży i rujnuje? We wsi Walkiszkach — opowiadają pisma — złapano koniokrada, niejakiego Gawenasa. Zbiegli się na sąd *lynchowy* wszyscy mieszkańcy. Jeden z gospodarzów radził zbrodniarza wrzucić do studni z kamieniem u szyi. Kobiety, zwykle okrutniejsze, uznały taką karę za łagodną. Po ogólnej naradzie powieszono Gawenasa na drzewie głową ku dołowi, a wtedy wszyscy obecni, nie wyłączając małych dzieci, zaczęli go bić drągami, prętami, sznurami. Operacya ta trwała kilka godzin; mdlejącego rabusia oblewano zimną wodą, dopóki ducha nie wyzionął. Jest to niewątpliwie scena dla naszych uczuć potworna, której za akt cywilizowanego wymiaru sprawiedliwości uznać nie możemy; ale jednocześnie świadczy, jak straszna, długo tłumiona a ciągle podniecana rozpacz przedarła się swym dzikim krzykiem przez to okrucieństwo. Pamiętać trzeba, że dla każdego z tych mścicieli koń jest skarbem, a dla niejednego — główną siłą roboczą, że oni o ten skarb i tę siłę przez całe tygodnie, miesiące i lata drżą przed widzialnym lub niewidzialnym złodziejem, który nad nimi znęca się postrachem, groźbą, wreszcie wyzyskiem lub rabunkiem. O ile etyka nie pozwala nam pochwalać takiego *lynch law*, o tyle psychologia pozwala je zrozumieć. Jest ono wobec koniokradów rozszalałem oburzeniem, bezpamiętnym odwetem, rykiem strasznego gniewu, który w człowieku obudził drapieżne zwierzę. Moralność społeczeństwa zależy nietylko od praw, ale od poziomu obyczajowego i umysłowego. Ale rozwój, podnoszący ten poziom, nie dokonywa się z dnia na dzień, wymaga długiego czasu i pracy. Nie zaniedbując go, trzeba myśleć o tymczasowem łagodzeniu plagi. Lud ponosi olbrzymie straty przez koniokradztwo, a przytem demoraliznje się żądzą i czynami zemsty. Wobec tej podwójnej klęski prawo musi zaostrzyć swą czujność i surowość względem jej sprawców. Dotychczasowe środki policyjne i zagrożenia karne nie wystarczają dla wytępienia ich, tu potrzeba jakiejś spotęgowanej energii w tropieniu i ubezwładnianiu złodziejów. Jest to ogólnie od-

czuwana konieczność, której nie ujmujemy w rozwinięte projekty, bo do nas należy sylko wskazywanie zjawisk, badanie ich logiki i zaznaczanie wskazań.

Na takich ogólnych wnioskach ogranicza również swe wywody p. W. Bogusławski, rozbierając „przesilenie teatralne“ w *Gazecie polskiej*. Teatr nasz podobnym jest do chorego, przy którym odbywa się nieprzerwane konsylium powaśnionych lekarzów, zapisujących mu sprzeczne recepty i grożących, w razie nieuwzględnienia ich rad, niechybną śmiercią! Najpoważniejszym doktorem medycyny teatralnej jest bezsprzecznie p. Bogusławski, który wyłącznie poświęcił się swej sztuce. Nie jest to estetyk w poglądach swych oryginalny i konsekwentny, nie jest to krytyk, oparty na jakiejś stałej filozofii i wolny od upodobań lub wstrętów chwilowych, ale trzeba mu przyznać szczere, niemal fanatyczne przywiązanie do teatru i gorącą chęć zachowania mu godności świątyni, a ustrzeżenia od charakteru jasełkowej budy. Nie umiałbym tak wyspecyalizować moich myśli i uczuć, ale umiem ich żywy ruch w tym jednostronnym kierunku pojąć. Boć jeżeli są ludzie, którzy przez całe życie zajmują się Homerem lub wymoczkami, dlaczegóżby nie mieli być inni, trzymający wzrok ciągle utkwiony w ważną instytucyę społeczną? Tym razem p. Bogusławski dowodzi, że w naszym teatrze zarówno co do wyboru sztuk, jak gry aktorskiej, panuje chaos, którym rządzi przypadek w rękach nieudolności. „Co my właściwie grywamy? — pyta on. Gdzie u nas jest tak zwany *Stammrepertoir*, oparty na dziełach w wielkim stylu, przedstawianych z taką czcią, jak Corneille, Racine i Molière we Francyi, Lessing, Schiller i Goethe w Niemczech, a Shakespeare i Sheridan w Anglii? Gdzie zapobiegliwość o utwory oryginalnych pisarzów, dorównywająca tej przynajmniej, jakiej dają dowody ubogie, wędrowne trupy prowincyonalne? Gdzie wreszcie ruchliwość oryentująca się w chwili bieżącej i dbała o to, ażeby publiczność jaknajrychlej obznajmianą była z tem, co produkuje wszędzie literatura obca?“ Rzeczywiście tego wszystkiego niema, a mojem zdaniem potrzeba: 1) zdolnego, ukształconego, energicznego i kochającego sztukę reżysera; 2) uniezależnienia naszego teatru od francuskiego, który go obdarza swoją zgnilizną i swoimi fabrykatami bez poezyi, a z bezmyślnym kunsztem scenicznym; 3) wytworzenia szacunku dla własnej literatury dramatycznej, która jest pomywaczką kucharki obcej. Co my grywamy? Naprzód to, co grano w Paryżu, a następnie to, co zabiegami wcisną w repertoar autorowie miejscowi. Ogarnia mnie wstyd i żal, gdy widzę tych ludzi, przez dworowanie aktorom i aktorkom, przez wpływowe stosunki wprowadzających swoje utwory na scenę, traktowanych jak natręci i żebracy łaski. Na sądzie ostatecznym nie będzie mi między grzechami policzoną najdrobniejsza ambicya teatralna; ale od czasu do czasu reżyserya warszawska z niewiadomej przyczyny przypomina sobie o istnieniu moich dramatów i uczuwa dziwny kaprys sprofanowania nimi swej świątyni. Otóż ktoś żądał ode mnie na ten cel egzemplarza jednej sztuki. Dając, zastrzegam: proszę mi zwrócić, bo jest to egzemplarz jedyny.

— W takim razie wątpię, czy dramat pański mógłby być przedstawiony; każ pan przepisać.

Zważcie: przedstawienie pracy swojskiej zależy od tego, czy autor przygotuje jej kopię dla reżyseryi, czy też nie. Trzeba być tak skromnym, jak chodnik, po którym wszyscy depczą, ażeby wobec takiego lekceważenia nie wyprostować się i nie podnieść głowy wysoko. Mimowoli wyrywa się pytanie zgrozy: za co oni nas mają, ci, którzy dzięki nam istnieją, którzy są tylko wykonawcami naszych myśli? A przecież gdyby nie my, to „świątynia“ służyłaby tylko szczurom na dole, a gołębiom u góry. Jeżeli zaś to spotyka pisarza odsuniętego od teatru, niepukającego nigdy do jego podwojów, to ileż upokorzeń znieść muszą ci, którzy do niego tłoczą się i sławy w nim szukają! I po co to napieranie się o wawrzyn, który wczoraj lub nazajutrz spocznie na czole scenicznego kuglarza, umiejącego zręcznie łechtać do śmiechu głupców i zachwycać ich efektownie ustawianemi dekoracyami! To też według mnie obciął skrzydła swym marzeniom każdy poeta, który je zamknął w dzisiejszym teatrze. To nie wyżyna dla orłów, to grzęda dla pawiów. Było, a może będzie kiedyś inaczej, ale obecnie... trzeba tylko krzyczeć lub słuchać okrzyków: niech żyje akrobata i błazen cyrkowy pod wysoką protekcyą Melpomeny!

Rozpoczęła się już doroczna pielgrzymka młodzieży do szkół. P. Górski podniósł w roku bieżącym opłatę z 80 do 100 rs. Nie badamy, bo nie znamy jego rachunków, które go do tej podwyżki skłoniły; w każdym razie ściska ona dotkliwie kieszenie ludzi niezamożnych, których dzieci licznie z tego zakładu korzystają. Wprawdzie p. Górski równoważy ową podwyżkę bezpłatnem kształceniem uczniów biednych (którzy kiedyś zwróciwszy zaciągnięty dług, mają w tej szkole utworzyć „fundusz przyszłości“), ale to nie sprawia ulgi rodzicom, zmuszonym za swych synów wnosić o 20 rs. więcej rocznie. Rozumie się, mówimy tu tylko o ludziach małego lub średniego uposażenia, bo jakiś bankier, kupiec lub przemysłowiec o to nie dba. Więcej przecie nie raz kosztuje bilet na występ Mierzwińskiego. Pół rubla dziennie za sześciogodzinną naukę syna — to drobiazg dla szczęśliwców, palących czasem droższe cygara, ale nie dla tych, którzy kiedyś mają posiąść królestwo niebieskie, a tymczasem muszą gryźć biedę w ziemskiem, modląc się do rubla.

Papierek ten, który niedawno miał wartość kwitka z wątpliwym oddaniem połowy długu przez regulacyę 50 za 100, nabrał w ostatnich czasach takiej ceny, że zaczyna wydawać się za wielkim. Łącząc swój głos z innymi *Gazeta losowań* dowodzi potrzeby zniżenia jednostki monetarnej w Rosyi (do stopy franka i marki), wykazując, że obecna jest zbyt wysoką, a skutkiem tego źle oddziaływa na nasze życie ekonomiczne. Istotnie zastosowaliśmy je do rubla wzgardzonego i sponiewieranego na wszystkich giełdach, a gdy on teraz odzyskał swą wagę, zaczynamy uczuwać konieczność odpowiedniego rozłożenia go na nasze potrzeby ekonomiczne. Rubel obecny nie jest rublem płaconym za jakiś produkt przed dwoma lub trzema laty. Potrzeba go rozdrobnić, bo zdrożał.

Poseł Prawdy.

ZDALA.

Pierwsze kroki naczelników ziemstw. — Jakie nadzieje i zadania mają oni spełnić? — Środki uprawidłowienia rolnictwa.

Niedawno powołani naczelnicy ziemscy wstąpili już na pole wskazanej sobie działalności. Ta nowa, „najbliższa ludu“ władza wypowiedziała już walkę „bezrządowi“ i „zarazom“ wsi... W wielu miejscach zaczęto od tępienia pasorzytów, tuczących się ciałem i krwią ludu, w zaciszu jego ciemnoty i bezbronności — zwrócono uwagę na rozmnożoną zgraję pieniaczy wiejskich i pokątnych doradców. Rozwojowi tych pośredników między pokrzywdzonym a sprawiedliwością nie mało sprzyjała sama procedura sądowa, która w ciągu praktyki zboczyła nieco od litery prawa. Sędziowie pokoju, z biegiem czasu zapomniawszy o przyjmowaniu równie piśmiennych, jak i słownych skarg, jęli przyjmować tylko piśmienne, ułożone „według formy.“ Ponieważ jednak oświata ludu ociągała się w postępie, a prośby, pisane nieprawidłowo, zwracano zanoszącym je, ci ostatni przeto musieli się uciekać do pośredników. Kancelaryzm znalazł dopełnienie w pokątnem doradztwie. Obecnie zaś to złe postanowili wyplenić naczelnicy ziemscy. Usiłują oni wpoić włościanom przekonanie, że w interesie własnym winni zwracać się z każdą skargą do nich, zamiast do wyzyskujących ich „adwokatów,“ a znajdą niewątpliwą pomoc. Drugą słabą stroną wsi ruskiej jest stan sądów włościańskich. Znajdują się one we władzy pisarzów gminnych, którzy są znani ze swej sprzedajności. Na poprawę też ich, jak i wogóle sprawiedliwości gminnej, „zwrócili“ również uwagę naczelnicy ziemscy.

Prawdopodobnie zwrócą oni jeszcze uwagę nie na jedną rzecz i zacisną niejedne rozluźnienie chłopskie w silniejszy węzeł, raz zgodnie z istotnemi potrzebami samego ludu, drugi raz — bardziej może jeszcze — po myśli tej klasy, z której wyszli. Wiele będą mieli zadań i nadziej do spełnienia. Obecnie dopiero weszli na arenę, a już właściwa ich rola została należycie zrozumianą. Najlepiej świadczy o tem *Gazeta rolnicza*, która zabrała niedawno głos w sprawie stosunków robotników wiejskich do przedsiębiorców rolnych w „kraju północnozachodnim.“ Klęską dla prawidłowego biegu wielkiej gospodarki prywatnej, opartej na systemacie wolego najmu, jest niesforność robotnika wiejskiego, jego samowola, zuchwałość, nieposzanowanie praw chlebodawcy, lekkomyślne łamanie przyjętych zobowiązań. I nie ma obecnie rzeczona prowincya odpowiedniej instytucyi karcąco-okiełznującej. Dawniej, już po dokonanej reformie włościańskiej, taką rolę spełniali „pośrednicy pojednawczy,“ którzy posiadając władzę administracyjną sądową, regulowali skutecznie nowe stosunki dworu ze wsią. Sądy włościańskie poddane ich dozorowi funkcyonowały wybornie i chociaż stworzone specyalnie dla ludu wiejskiego, na mocy ustawy 19 lutego, za dobrowolną zgodą, miały prawo rozpatrywać sprawy innych klas społecznych. Po wprowadzeniu sądów pokoju stan rzeczy się zmienił. „Pośredników“ usunięto, a ich władzę administracyjną przelano na urzędników powiatowych do spraw włościańskich. Włościanie więc wraz ze swoim samorządem mieli i nadal nad sobą urzędnika-opiekuna, ale reszta ludności i właściciele ziemscy pozostali bez opieki, sprawy zaś ich, sądzone dotąd przez pośredników prędko i ustnie, poddane formalistyce nowej procedury apelacyjno-kasacyjnej wpadły w ręce „adwokackiego wyzysku“ lub, co gorsza — pokątnego doradztwa. Kontrola pośredników nad sądami włościańskimi i samorządem gminnym, ograniczona do względnie mniejszego obrębu terytoryalnego, była skuteczniejsza, niżeli urzędnik do spraw włościańskich — jednego na obszerny powiat. To też oddalony dozór zrodzi samowolę starszyzny gminnej. Sądy gminne (włościańskie), jakkolwiek żadnym aktem prawodawczym do tego nie upoważnione, zaniechały przyjmowania spraw dworskich, odsyłając interesowanych do sądów pokoju. Wpłynęło to fatalnie na stosunki wielkich i średnich gospodarstw rolnych do stałej czeladzi i służby folwarcznej. Dawniej złamanie umowy zawartej prywatnie pomiędzy pracodawcą a parobkiem regulowane było szybko przez pośredników i sądy gminne. Obecnie jest inaczej. Parobek, potrzebując na przednówku pieniędzy, zawiera z właścicielem umowę na roczną służbę, bierze zadatek i idzie pracować swojemu najemcy. Lecz w czasie żniw i kośby, gdy *cena pracy* zacznie się *podnosić*, a w okolicy zjawią się agenci werbujący robotników dla dzierżawców łąk i kupców zboża będącego na pniu, parobek porzuca sprzężaj na

polu — i znika bez wieści, „wiedząc dobrze, że mu to ujdzie bezkarnie."

Cóż pozostaje poszkodowanemu? — pyta organ naszego ziemiaństwa. Pozostaje mu zanieść skargę do sędziego pokoju. Sędzia jednak „będąc pozbawionym władzy administracyjnej i policyjno-poprawczej," piastowanej niegdyś przez pośredników, nie znajdując w kodeksie żadnego odnośnego artykułu, któryby pozwolił winowajcę ścigać na drodze karnej, osądza go tylko cywilnie, to jest, skazuje go na grzywnę za poniesione przez pracodawcę straty, zamiast na karę lub jeszcze coś dotkliwszego... „Poszkodowanemu więc właścicielowi nie pozostaje nic — powiada zasmucony autor — tylko podać rachunek niedosłużonych dni do terminu umowy, ceniąc je podług normy cen dziennego robotnika, istniejących w danym czasie i prosić o egzekucyą z winnego należnej sumy." Do egzekucyi jednak zwykle nie dochodzi, bo zawsze się okaże, iż obwiniony nie ma żadnego majątku, prócz krowy lub statku, które według prawa nie podlegają sekwestrowi. Nie wpłynęły na zmianę podobnych stosunków ani „listy robocze," ani „książeczki obrachunkowe," przepisane ustawą regulującą. Te dokumenty każdy włościanin, idący w służbę dworską, brał w swoim zarządzie gminnym i tamże, po wpisaniu do nich zawartej z „dziedzicem" umowy, musiał je wizować. Ustawa obok uprawnienia umów, czyniła robotnika odpowiedzialnym za niedotrzymanie zobowiązań. Oprócz grzywny czekał go powrót *dobrowolny* pod *przymusem władz* na opuszczoną służbę, lub w razie nieposłuszeństwa—areszt miesięczny z grzywną. Jak z tego widać, interes klasy ziemiańskiej troskliwie był zabezpieczony. Cóż z tego, kiedy w klatce zrobiono furtkę, którędy mógł wyfrunąć „wolny najmita." Umowy mogły być dwojakie, do wyboru: prywatne lub urzędowe, a przytem wzięcie listów roboczych dla robotnika nieobowiązujące, rygor zaś wykonawczy tyczył się umów, urzędownie zawartych. Robotnicy rolni odrazu zrozumieli, skąd grozi im niebezpieczeństwo, i oparli się żądaniom pracodawców: listów i książek roboczych nie chcą brać w gminie. Czynić zaś to mogą tem łatwiej wobec braku solidarności chlebodawców współzawodniczących z sobą na rynku pracy. Ta właśnie okoliczność, twierdzi *Gazeta rolnicza*, „pozbawia gospodarzy rolnych możności zmuszenia robotników do podporządkowania się nowo wydanej ustawie." Pozostała ona martwą literą, mnóstwo blankietów do umów leży w zarządach gminnych bez użytku.

Z tej otchłani rozpaczy jedni tylko naczelnicy ziemscy wybawić mają wielkośrednich posiadaczy gruntowych. Chłop, zostawiony samemu sobie, nie ziścił pokładanych nadziei, nie zdobył wszystkich cnót robotnika użytecznego kapitaliście-rolnikowi: nie jest dość posłuszny, pracowity i pokorny... Nie ma nawet w dostatecznej ilości zalet moralnych, niezbędnych na własny swój codzienny użytek. Warunki ekonomiczne (mało — lub bezrolny byt, masowa bezkierunkowa wędrówka po obszernem państwie za zarobkiem itd.)—opieszale go tresują. Dla tego też przekonano się, że: „jedną z głównych przyczyn, utrudniających prawidłowy rozwój dobrobytu wśród ludności wiejskiej Cesarstwa, jest brak zbliżonej do ludu silnej władzy rządowej, łączącej w sobie opiekę nad ludnością wiejską, z troską o ostateczne uregulowanie sprawy włościańskiej i z obowiązkiem przestrzegania spokoju i porządku publicznego oraz praw osób prywatnych w miejscowościach wiejskich." Władzę tę w prowincyach wschodnich Cesarstwa obdarzonych samorządem ziemskim, powierzono w ręce szlachty. *Gazeta rolnicza* żywi nadzieję, że ta instytucya zaszczepioną będzie również i na wyjałowionym gruncie t. z. „kraju północno-zachodniego," gdyż program wprowadzenia jej orzeka, iż gdzie nie istnieją ziemstwa, naczelnicy ziemscy mianowani będą przez administracyę miejscową. Organowi naszego ziemiaństwa nie mogę odmówić zmysłu spostrzegawczego, gdyż w pomienionych urzędnikach nie tylko odczuwa duch bronionej przez siebie klasy, lecz także potomków pogrzebanej instytucyi „pośredników" na szerszą skalę. Stare wino w nowych a większych miechach...

Nie pierwszy to już raz na tem miejscu zaznaczyliśmy, iż rząd nieustannie dąży do uporządkowania rolnictwa w Rosyi i wyrwania go z objęć nieładu, jaki obecnie w niem panuje w dziedzinie produkcyi, środków przewozowych, rynku, wydajności pracy, kredytu itp. Obecnie komisya wiejsko-gospodarcza, zawiązana przy ministeryum spraw wewnętrznych, opracowała cały szereg następujących środków: 1) organizacya kredytu leśnego na zasadzie wzajemności; 2) popieranie ulepszenia rasy bydła; 3) państwowe ubezpieczenie zasiewów i inwentarza żywego; 4) zachęcanie sił inteligentnych do zajmowania się gospodarstwem wiejskiem; 5) kolonizacyę na gruntach skarbowych; 6) popieranie rozwoju intensywnego gospodarstwa u włościan i drobnych posiadaczów; 7) jaknajszybsze i powszechne zastosowanie w handlu zbożowym systemu warantów; 8) zniesienie cła od maszyn i narzędzi rolniczych; 9) ogólna rewizya i reforma systemu podatkowego; 10) przyspieszenie czynności demarkacyjnych; 11) zachętę do organizowania spółek i związków rolniczych; 12) popieranie wywozu ziemiopłodów w postaci przetworów.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Szkoły. Warszawskie towarzystwo ogrodnicze postanowiło się zwrócić do władz o wyjednanie dwóch włók na polu Mokotowskiem. Potrzebny mu jest ten szmatek ziemi dla praktycznego kształcenia w ogrodnictwie nauczycieli szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich. Zamiar ten jest w zgodzie z rozporządzeniem ministra dóbr państwa, nakazującem wykłady ogrodnictwa przy szkołach wiejskich.

— Ziemstwa południowe starają się o pozwolenie na otwieranie średnich szkół rolniczych dla kobiet.

— *Now. Wrem.* donosi o zamiarze zreformowania rządowych zakładów naukowych dla kobiet.

— W szkole warszawskiego Towarzystwa muzycznego od d. 1 września zaprowadzono stałe wykłady praktyczne wymowy i deklamacyi w zastosowaniu do estrady, a nadto naukę gry dramatycznej. Nauczycielami są pp. Kotarbiński i Szymanowski.

— W Poniewieżu, na Żmujdzi, z funduszów miejskich i składek prywatnych ma być otwarta w przyszłym roku szkoła gospodarczo-rolnicza z oddziałem rzemieślniczym. Budowa narzędzi rolniczych oraz naprawa maszyn, używanych w gospodarstwie, będzie szczególnie uwzględnioną w programie.

— *Nowosti* donoszą, iż, dla „zjednoczenia wpływu pedagogicznego" na uczniów gimnazyów, zamierzono obowiązki teraźniejszych gospodarzów klasowych ześrodkować w osobie trzech lub czterech najwpływowszych nauczycieli danego gimnazyum, poleciwszy każdemu z nich dozór kilku klas. Ci nowi gospodarze łącznie z dyrektorem i inspektorem stanowić mają oddzielną radę wychowawczą, która czujniejszą rozwinie pieczę, żeby społeczeństwu dostawały się moralne — ciche i „zdrowomyślące" — jednostki...

Przemysł i handel. Spółka ziemian z gubernij południowych i południowo-zachodnich opracowała projekt zbudowania całej sieci elewatorów we wszystkich punktach handlowych, na przystaniach rzek spławnych itd. Kapitał potrzebny na dokonanie tego dzieła wynosić ma około 25 milionów rs.

— W ministeryum dóbr państwa spoczywa projekt uregulowania eksploatacyi nafty.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło projekt ustawy „Towarzystwa wschodniego," które ma na celu uprawidłowienie stosunków handlowych ze Wschodem.

— W Odesie zawiązuje się towarzystwo zabaw dziecięcych, które zajmie się urządzaniem aren gimnastycznych itp., organizacyą różnych zabaw pod otwartem niebem, spacerów zamiejskich, śpiewów chóralnych itp.; zimową porą w różnych okolicach miasta towarzystwo ma urządzać ślizgawki, oraz różne zabawy w miejscach otwartych i lokalach zamkniętych.

— W Ogrodzieńcu, w powiecie olkuskim, spółka kapitalistów zakłada fabrykę prochu i dynamitu. Za 90 morgów lichej ziemi pod zabudowania spółka zapłaciła włościanom okolicznym 9,500 rs. (*Kur. warsz.*).

— Właściciel Kadzielni, p. Rembiewski, wznosi drugi wielki piec dla wypalania wapna. Całą produkcyę Kadzielni zabiera Warszawa.

— Jeden z przemysłowców warszawskich pochodzenia niemieckiego otrzymał z Berlina wezwanie, żeby utworzył w Warszawie towarzystwo palenia zwłok ludzkich, wpostaci filii podobnego towarzystwa w Berlinie.

— Dla lepszego obeznania wewnętrznych gubernij Cesarstwa z wytworami przemysłu kopalnianego, górnicy uralscy starają się o pozwolenie na urządzenie własnym kosztem wystawy górniczej w Moskwie.

— Zatwierdzono ustawę towarzystwa wyrobu win w Odesie. Przedsiębiorstwo to zakładają Perykles Rodokonaki i dom handlowy w Odesie F. P. Rodokonaki.

— Ministeryum skarbu opracowało szczegółowy projekt sposobów popierania plantacyj bawełny w Azyi środkowej.

Życie społeczne. *Now. wrem.* donosi, iż zamierzono wprowadzić w „kraju północno-zachodnim" urząd naczelników ziemskich.

— Na dwunastu zebraniach gminnych w gub. petersburskiej zapadły uchwały o karach za pijaństwo. Grzywny mają być obracane na szkoły cerkiewno-parafialne.

— Turkiestan i kraj zakaukazki obdarzyć zamierzył rząd całym szeregiem reform społeczno-gospodarczych. Zarząd kraju zakaukazkiego ma być zrównany z zarządami generał-gubernatorskimi, przy pozostawieniu jednak takiej samej władzy, jaką się cieszy generał-gubernator warszawski. Cofnięte zostaną przywileje i prerogatywy służbowe, jako niedające się już usprawiedliwić warunkami miejscowymi. Zastępy urzędników administracyjno-sądowych, doprowadzone do olbrzymich rozmiarów w guberniach mahometańskich, będą znacznie uszczuplone. Równie w Turkiestanie, jak i w kraju zakaukazkim przywrócony zostanie tubylczy zarząd. Szczególna ma być tam zwrócona uwaga na wykształcenie i rozwój ludu, czemu zaradzić ma zwiększona liczba niższych i średnich szkół. Rozrzucone w różnych punktach „Zakaukazia" dobra skrbowe obrócone być mają na polepszenie położenia ekonomicznego miejscowej ludności tudzież dla zapewnienia bytu pewnych osadników. Przyśpieszone też ma być rozgraniczenie prywatnych i skarbowych gruntów. Słowem, kraje te dopuszczone zostaną do udziału w kulturze minimalnej rdzenia państwa...

— Na zjeździe w Kownie lekarzy miejskich, z różnych miejsc danej gubernii, rozpatrywane były następujące kwestye: hygiena dzieci i dorastającej młodzieży oraz *asenizacya mieszkań włościańskich, odzież i pożywienie włościan*, walka ze znachorstwem i przesądami włościan. Wynikiem zjazdu było zebranie ciekawego materyału.

— W departamencie pocztowym zamierzona jest organizacya poczt gminnych i wiejskich w całem państwie. Polegać ona ma na tem, iż każda gmina będzie obowiązkowo utrzymywała na swój koszt *pieszych* lub *konnych listonoszów*, którzy będą codziennie przywozili adresatom listy i gazety z urzędów pocztowych. Koszt utrzymania takich poczt wiejskich będzie rozłożony na mieszkańców. Wieś da istotny dowód chęci uczestniczenia w cywilizacyi, jeśli dążność centralnych władz do podniesienia tętna życiowego ospałych siół i dworów — poprze.

— Kółko warszawskich pływaków amatorów stara się wyjednać u władz pozwolenie na utworzenie klubu pływackiego w Warszawie.

— Na odbytym niedawno wiecu katolickim w Koblencyi przywódca centrum „gadalni" niemieckiej, Windhorst, oświadczył się za użyciem wszelkich środków prawnych dla tępienia zasad społecznej demokracyi i zaznaczył łączność centrum z zasadami cesarza w zakresie polityki społecznej. Dr. Borsch głosował za przywróceniem jezuitów, a dr. Lieber — świeckiej władzy papieża.

— Papież zatwierdził założenie związku międzynarodowego przeciwko „złym, niemoralnym i bezbożnym płodom" teraźniejszej literatury i „zdrożnej nauki."

— *Nowoje Wremia* donosi, iż duchowieństwo wielu dyccezyj prawosławnych stara się, żeby w szkołach misyonarskich, pomyślanych przez p. Pobiedonoscewa, przygotowywano alumnów do nawracania nietylko pogan, lecz także starowierców i inowierców. Niektóre dyecezye prawosławne, np. warszawsko-chełmska, gotowe są własnym kosztem utrzymywać takie szkoły, byleby w nich przygotowywano do walki z sztundyzmem, unią, katolicyzmem i protestantyzmem. Do tej walki wprawiani mają być nietylko duchowni, lecz także świeccy uczniowe...

Sprawy ekonomiczne. W Łodzi zniżono płacę hafciarkom, pracującym w tamecznej fabryce rękawiczek nicianych. Podobno „oberwać“ mają zarobek i innym najmitom w tej że fabryce...

— Polecono zająć się polepszeniem położenia sanitarnego spławiaczy drzewa i tratew w kraju północno-zachodnim. A położenie materyalne?..

— Według nowego projektu taksy dorożkarskiej z podziałem miasta na okręgi jazdy, kurs jednokonki w obrębie miasta, t. j., z wyłączeniem dworców kolejowych, ulicy Czerniakowskiej, Solca i rogatek, wynosić ma 15 kop. W tej zniżce widzieć trzeba objaw ciężkiego współzawodnictwa drobnych i luźnych usług dorożkarskiej lokomocyi z wielkiem, ześrodkowującem uliczny ruch osobowo-przewozowy towarzystwem tramwajowem.

— Pod Borysławiem, w kopalni wosku ziemnego na Wolance, skutkiem pęknięcia kotła parowego wynikł pożar i, co ważniejsza jeszcze — *zginęło kilkudziesięciu robotników.* Tych śmierci już nie podobna policzyć na karb „własnej nieostrożności“ ofiar...

— W Sidney wzmaga się niezadowolenie między najmitami okrętowymi z powodu, że właściciele statków przyjęli na służbę majtków, nienależących do związku miejscowego. Górnicy chcą ogłosić bezrobocie (*Warsz dniew.*).

— W Irlandyi głód przybiera groźne rozmiary, skutkiem nieurodzaju kartofli (*Warsz dniew.*).

— W Mons około 3,000 najmitów świętujących wyruszyło w kierunku Doux i Wasmes. Za tłumem wślad tropiła żandarmerya, a gdy się powiększył rozegnała go, a opornych aresztowała. Pośrednictwo bowiem między robotnikami a fabrykantami nie przyniosło skutku.

— W Kingstown rozciągnęto „bojkotowanie“ na szkołę klasztorną, ponieważ zakonnice kupują węgiel u niejakiego Mac-Cormick'a, nienależącego do związku robotniczego. Bojkotowanie wyraża się zabranianiem dzieciom chodzenia do szkoły klasztornej.

Wynalazki. Krakowianin, p. Stanisław Pokutyński doszedł do dwóch wynalazków w dziedzinie mechaniki, zaszczytnie odznaczonych. Jednym z nich jest motor uniwersalny, w rodzaju maszynki rotacyjnej, która może być wprawiona w ruch parą, wodą, powietrzem zgęszczonem, gazem lub naftą. Gaz i nafta wymagają pewnej dodatkowej zmiany przyrządu, bardzo zresztą nieznacznej. Motor ten ma podobno wysokie zalety: chyżość niesłychaną (12,000 obrotów na minutę bez transmisyi), zużywa mało pary, jest wolny od tarcia i nie wymaga smarowania. Jest nadto bardzo lekki i ma prostą budowę, może być użyty wszędzie, gdzie potrzeba wielkiej szybkości obrotowej: do wentylatorów, centryfug itp. Wynalazca za ten pomysł otrzymał w Belgii złoty medal. Drugim wynalazkiem jest wodomierz, niezmiernie czuły. Zrobiony on jest z metalu i polega na systemie turbinowym. Waży tylko 2,300 gramów, może być użyty do kontroli wodociągów lub jakichbądź płynów, jest niewielki i tani.

Pożary. Z miasta węgierskiego Tokaju — nie pozostało podobno ani śladu, tak spłonął. Szkody wynoszą półtora miliona guldenów, a 1,000 rodzin pozostało bez dachu. Czy czasem to miasto nie znajdowało się w bardziej pierwotnym pod względem kultury kraju niżeli Węgry, skoro aż do tego doszło?

Teatr. Przedstawiono „Sprawę Clemenceau“ A. Dumasa. Tak, ni stąd, ni zowąd.

Sprostowanie. Podany przez nas z *Wieku* opis wykonanego w Berlinie doświadczenia z nowym przyrządem do otrzymywania spiritusu okazał się zmyślonym przez gazety niemieckic. Że też mądrych głów czepiają się tak dziecinne koncepty.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Августа 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.